Nr. 44. Kraków, dnia 30 października 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Głos zdrajcy.

Na stosunki polityczne, panujące w obecnych czasach rzucił wobec całej Polski dużo światła znakomity nasz powieściopisarz Józef Weyssenhoff w swej *„Unii"*. Narodową obojętność wielkiej części szlachty polskiej, rozsianej dość gęsto po cudnych i żyznych łanach litewskich, opisywanych z taką miłością przez autora „Pana Tadeusza", przedstawia Weyssenhoff mistrzowskim swym piórem w świetle wcale niedwuznacznym. Nietylko obojętność narodową, lecz i wprost niechęć do do tych, których serca dla sprawy narodowej gorętszym pałają ogniem. Materyalizm takiego pana Chmary, głowy „realistów" polskich na Litwie, u którego odbywają się sejmiki szlachty — razem z czynownikiem rosyjskim, dochodzi do tego stopnia, że boi się niemal wymówić wyrazu „Polska".

Że typ pana Chmary nie jest niestety wyjątkowym, że nie zachodzi on jedynie w powieści, na to mamy obecnie dowody. Takich Chmarów, cieszących się ogólnym na Litwie poważaniem, jest tam sporo w rzeczywistości. Dowodem głos publiczny hrabiego Józefa *Korwin Milewskiego,* który głośnym echem rozległ się niedawno po całej Polsce.

Głos ten ma być zarazem programem nowej partyi ugodowej na Litwie, partyi, pragnącej zupełnego zlania się z Rosyą. Hrabia Korwin Milewski pisze bowiem, że szlachta cała powinna stać bezwzględnie przy osobie tego monarchy, którego losy historyczne i wola Boża jej nadały. Dalej dowodzi, że carowie rosyjscy oddawna umiłowali szlachtę polską, lecz szlachta ta stała się miłości niegodną. Źródło złego leży naturalnie w Warszawie, w Królestwie Polskiem, gdyż tam nie chce szlachta uznać wielkoduszności polityki carskiej wobec Polaków. Dla tego należy się szlachcie polskiej na Litwie — zdaniem hr. Milewskiego — wystrzegać wszelkiej łączności z Królestwem, z tamtejszymi Polakami, bo to szkodzi tylko Litwie. „Trzeba — pisze hr. Milewski dosłownie — się ocknąć, trzeba porzucić na zawsze mrzonki niemożebne, trzeba przedewszystkiem powiedzieć tym panom z Warszawy, co nas, Litwinów, pchają do zguby dla swoich pseudo-interesów nadwiślańskich — stanowczo: dość tego".

W programie swym wypowiada dalej p. Milewski, jak szlachcie polskiej na Litwie należy postępować. Oto przedewszystkiem należy się wyrzec stanowczo wszelkiej solidarności z przedstawicielami Królestwa Polskiego. „Nam, ziemianom tutejszym, polskiej kultury — pisze autor dalej, omijając już nawet nazwę „Polak" — trzeba przy zachowaniu bezwarunkowej lojalności względem osoby Imperatora Wszechrosyjskiego, zachować jak najstaranniej naszą wiekową kulturę, nasz język rodowity, naszą religię, lecz tylko w ścisłem kółku swoich, nie dla żadnej propagandy lub opozycyi względem rosyjskiego państwa, którego jesteśmy i na zawsze pozostaniemy obywatelami, lecz tak. jak się zachowuje relikwie po ukochanej matce już dawno w grobie złożonej, a więc bez pretensyi narzucania dalszym pokoleniom przekonań, mód i zwyczajów na zawsze minionej przeszłości.

I dalej prawi p. hrabia Korwin Milewski o „bezwarunkowej wierności dla swego monarchy" — lecz już powyżej przytoczone ustępy wystarczą, by sobie czytelnicy sami utworzyć mogli sąd o ludziach, którzy mają taki program polityczny. Toż to najpodlejsza zdrada, gorsza od Targowicy!

I u nas mieliśmy czasy ugodowe, mieliśmy czasy, w których rozmaite jednostki zapominały o swej godności narodowej, lecz takiej podłej, nikczemnej zdrady na naszym gruncie nie było. Lecz to, co widzieliśmy w ostatnich czasach — u nas —, to mogłoby się z czasem przerodzić na podobną podłość, jakiej nie wstydzi się popełnić

hrabia Milewski. Od zatracenia godności narodowej do podłości i zdrady zaledwie krok jeden.

Dla tego potępić należy jak najenergiczniej tę zdradę, choć jej dokonano na Litwie a nie u nas, by pokazać, że naród na podobne rzeczy się nie godzi. Gdyby objawów podobnych, gdziekolwiek one się ukażą na obszarze dawnej Polski, nie potępił cały naród, wówczas gotowe one znaleźć naśladowników.

A zatem baczność! — Strzedz się wszędzie ludzi, którzy zapominają o godności narodowej.

Ze sejmu.

Zapowiedzianych na ub. sobotę obrad Sejmu oczekiwano powszechnie w wielkim niepokoju. Po obradach bowiem środowych zanosiło się na to, że posłowie „ukraińską" kontynuować będą obstrukcyę z podwojoną „energią". Krążyły różne po mieście pogłoski, że ukraińcy specyalne przygotowują na sobotę „instrumenty obstrukcyjne", że dojdzie do ekscesów, jakich Izba sejmowa w czasie swego 50-lecia nie widziała itp. Zdawało się dalej, że i różnice zapatrywań na formę wyborczą wśród stronnictw polskich ulegną znacznemu pogłębieniu. Słowem, uważano dzień ten za chwilę przełomową w historyi naszego Sejmu.

Tymczasem dzięki pełnym taktu zabiegom prezesa Koła Polskiego dr. Głąbińskiego, doszło już w piątek do pewnego kontretnego porozumienia tak między Polakami i Rusinami, oraz między prezydyami klubów polskich. A dzień sobotni był tylko stwierdzeniem jawnem tego, co w piątek załatwiono poufnie. Coprawda odezwały się dziś „protesty ruskie i w przemówieniach posłów ukraińskich brzmiało jeszcze jakby echo pogróżek środowych. — ale to tylko „echo grało". W gruncie rzeczy bowiem przesilenie, zdaje się, zażegnano, a sprawa ustalenia zasad reformy wyborczej — jak sądzą powszechnie w kołach poselskich — jest kwestyą najbliższych dni.

Sobotnie obrady Izby sejmowej zagaił Marszałek oświadczeniem, że na jego ręce wpłynął *protest posłów ukraińskich*, występujący przeciw uchwałom Izby w czasie, gdy na ławach ukraińskich panował wrzask i hałas, wskutek którego nikt nie mógł był słyszeć przemówień sprawozdawczych, oraz jakie wnioski i kiedy poddawane były pod głosowanie. Było to więc załatwianie spraw ważnych sposobem mimicznym, przeciw któremu Ukraińcy protestują. Podobny protest zgłosili także: poseł Karol im. starorusinów i poseł Dudykiewiez im. moskalofilów.

Następnie poseł ukraiński Lewicki złożył oświadczenie, że sobotni porządek dzienny czyni zadość żądaniu Rusinów, aby Sejm przystąpił do obrad nad sprawozdaniem komisyi reformy wyborczej. Sprawozdanie to umieszczono coprawda jako punkt czwarty porządku, lecz poprzedzają je trzy sprawy, co do których nie może być rozprawy. Aby więc jak najrychlej umożliwić załatwienie tej historycznie ważnej sprawy, posłowie ruscy czynią wyjątek dla tych pierwszych trzech punktów porządku obrad i nie będą przeszkadzali ich załatwieniu.

Ostatecznie po załatwieniu pierwszych tych trzech spraw, zabrał głos poseł Głąbiński, by złożyć sprawozdanie z czynności komisyi reformy wyborczej. W wyczerpującym swym sprawozdaniu, mówca przedstawił historyę reformy wyborczej sejmowej od roku 1898 po dzień dzisiejszy. Rezultatem prac i obrad komisyi zostało przeświadczenie, że reforma jest rzeczywiście potrzebną, że jest dziś sprawą najważniejszą i bardzo pilną. Byłoby to pierwszym dodatnim rezultatem. Drugim rezultatem było przekonanie się wszystkich stronnictw o konieczności kompromisu, co umożliwiło zbliżenie tak stronnictw polskich, jak niemniej pewne porozumienie się polsko-ruskie. Jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, by wszystkie stronnictwa i oba narody zechciały współdziałać w dopuszczeniu reformy wyborczej jeszcze w bieżącej sesyi.

Nakoniec mówca zaznaczył, że niesprawiedliwym byłby sąd, iż jakieś stronnictwo nie chce reformy. Istnieją tylko pewne różnice co do zasad i szczegółów, ale i tu znajdujemy się na najlepszej drodze do porozumienia. Idzie o to, aby zatrzymanie dzisiejszego systemu kuryalnego połączone było z takimi demokratycznemi zmianami, iżby demokratyczne warstwy tem się zadowoliły. Mówca przedłożył następnie rezolucyę komisyi, że Sejm przyjmuje sprawozdanie do wiadomości, oraz że poleca usilnie, aby gotowy projekt reformy, komisya przedłożyła jeszcze w bieżącej sesyi. Rezolucyę tę uchwalono jednomyślnie.

Nad sprawozdaniem tym wyłoniła się dyskusya, na ogół rzeczowa i spokojna, w której zabierali głos mówcy wszystkich grup sejmowych. Poczem Marszałek odroczył posiedzenie do wtorku.

Obecnie więc w palącej sprawie reformy wyborczej sejmowej nastąpił zwrot pomyślny; sprawa cała weszła obecnie, jak się zdaje, na drogę pozytywnych działań.

Święto umarłych.

O uroczysty dniu! o święty dniu żałoby!
I ja cię święcić chcę w tęsknicy i zadumie;
Lecz nikt nie ujrzy mnie w tym rozhukanym tłumie,
Co niesie zgiełk i gwar pomiędzy ciche groby.

O nie! nie pójdę tam, bo zgrozą mnie i wstrętem
Przejmuje sama myśl, że dałbym na wystawę
Serdeczną boleść swą, a patrzał, jak ciekawe
Gromady bawią się w umarłych mieście świętem.

Dla kilku dusz drogich, co stamtąd mnie wołają,
Nie czuję na to sił, by łączyć się z tą zgrają,
Co sprawia sobie dziś igrzysko śród cmentarza
I żywych szczery żal i zmarłych cześć znieważa.

Więc się zamykam rad w osamotnieniu głuchem,
Bo obcym pragnę być tej wrzawie i rozterce,
Oderwać od nich myśl i obwarować serce,
I bratnim duchom swym cześć oddać całym duchem.

I oto wszystek świat obiegam myślą chmurną,
Żałobny, łzawy wzrok po ziemskiem wodząc globie,
Co mi się w chwili tej olbrzymią zdaje urną,
Popioły ludów wszech mieszczącą razem w sobie.

I na cóż cmentarz mi? w tej wielkiej popielnicy
Nikogo nie brak z tych, po których płaczę ninie;
Tu wszyscy moi są najmilsi nieboszczycy,
Choć niejednego z nich bez śladu grób gdzieś ginie.

I dość mi w chwili tej ze świętych ksiąg pamięci
Najdroższych imion ich odmówić litanię,
A wszyscy mocą słów miłości mej zaklęci,
Z wiecznego swego snu obudzą się, ożyją.

I widzę, widzę ich, jak niezliczonym rojem
Wychodzą wszyscy wraz z mgły czasów i przestrzeni,
I jak żurawi klucz, w błękitach zawieszeni,
Świetlaną smugą w dal przed okiem ciągną mojem.

Cudowny od nich blask na serce moje spływa,
I dziwna jakaś moc przenika mię tajemnie:
Miłości świętej żar, nadzieja, wiara żywa,
I do poświęceń pęd powstają naraz we mnie.
I dobrze, błogo mi!...
O bracia moi mili!
I wy błogości tej zaznacie, gdy zechcecie,
Jeżeliście tych dusz, przez które na tym świecie
Wykwitał cnoty kwiat, z pamięci nie stracili.

Adam Pług.

Dziady wiosenne w piąty dzień po Wielkiejnocy zwane na Polesiu „Nawskim dniem."

Dzień zaduszny obchodzony był dawniej przez ludy słowiańskie na wiosnę a dopiero przez kościół katolicki przeniesiony został na 2-go listopada. Stąd opowieść ona, odnosząca się do tego dnia, nosi tytuł powyższy.

Trzy razy do roku lud wspomina swe umarłe, w dnie ściśle oznaczone wiekową tradycyą. Późną jesienią, gdy roboty rolne pokończył i wraz z naturą zamiera na długi zimowy spoczynek, sprawia swym zmarłym Dziady, darzy ich kołaczem i kaszą, odprawia modły. W końcu zapust powtórnie dzieli się z nimi sytością jadła i napitku, zastawia wieczorem stół, zapala święconą świeczkę, domownicy uroczyście siedzą na ławach, a gospodyni rozwarłszy okienko, trzykrotnie nawołuje: „Dziady, dziady, chodźcie wieczerzać!"

I czekają w milczeniu gościny duchów wpatrzeni w gromnicę, licząc po jej chybotaniu ilość biesiadników.

Z wiosną — kto przezimował, kogo nie umorzył post rzetelny, który mało się różni od głodu, kto wytrzymał duszność i brud chaty, ten się raduje Chrystusowem Zmartwychwstaniem, ten się szczyci życiem i naturalnym wynikiem tryumfuje nad zmarłym.

I tedy na czwartek po Wielkiejnocy obchodzi uroczystość Dziadów.

Skoro słońce błyśnie, w każdej chacie jedna lub dwie kobiet szykuje z komory zachowane umyślnie na ten cel resztki święconego i zawinąwszy je w fartuch zapowiada rodzinie: — Idę teraz na nawską gościnę!

I idą jedna za drugą sznury białych postaci za wieś, na piaski cmentarne. Idą skupione i uroczyste, boć spełniają odwieczny obrządek.

Słońce się podnosi i cmentarz zwykle zapomniany i opuszczony zaludnia się temi białemi postaciami, jak tłumem widm.

Błądzą długo, odszukując swe mogiły. Trudna to rzecz. Nagrobków tam niema, napisów nie znajdziesz, a one zresztą czytać nie umieją. Gdy człowieka tu zakopią — trochę piasku ino nagarną i zatkną malutki krzyżyk. Ale po kilku dniach wiatr kopczyk zdmuchnie, a po kilku miesiącach krzyżyk upadnie, ramiona straci, i mogiła niczem się od innych nie różni. Błądzą tedy kobiety i odszukują sobie tylko wiadomych znaków. Jedna na grobie córki powiesiła na krzyżu kilka paciorków, druga na grobie matki obwiązała krzyżyk czerwoną nicią, inna na mężowskiej mogile zawiesiła fartuszek z wyszytymi na rogach krzyżami.

Pastuszki i włóczęgi często zabierają te pamiątki, wtedy kobiety zbierają się po kilka, przypominają, gdzie kogo chowano, przy kim leży i wreszcie każda odnajduje swoich.

Wtedy restauruje mogiłę, rękami zgarnia znowu piasek na kopczyk, zbiera ułomki krzyża, prostuje go, i ramiona zakłada, zawiesza nowy fartuszek. Krzątają się tak wszystkie, a pastuszki pędzący po pod cmentarzem bydło spoglądają ciekawie.

— Bacz jak baby stroją mogiły. Zaraz zaczną zawodzić.

Bo to dopiero wstęp do właściwej ceremonii. Teraz kobiety zaścielają obruskami kopczyki mogilne i składają do nich kołacz i jaja, ser i kiełbasę i flaszkę wódki.

Wtedy siadają naprzeciw, w kuczki, podpierają brodę pięściami i zaczynają z nieboszczykami rozhowor.

— Oj doniu moja, dońko! Zawodzi matka. Nie chcesz ty mi prząść ani tkać. Samą mnie zostawiłaś na robotę. Nie masz ciebie, nie masz, Oj dolaż moja dola, doleńka!

Głos się coraz podnosi, nabiera dźwięku wiatru jęczącego, wycia prawie, i łączy się w jeden chór z setką innych, co opłakują mężów i ojców, braci i matki, synów i wnuków.

Trwa to długo, cichnie, to znowu rośnie, ogarnia cały cmentarz, aż wreszcie któraś się podnosi — nalewa czarkę wódki, żegna się i woła:

— Piję ja do ciebie doniu serdeczna, żebyś wiedziała, że ci nic nie żałuję, i światło Boże niech ci świeci.

I wylewa czarkę na piasek.

I zaczyna się biesiada.

Łamią kołacz na kęsy i pytają się zmarłego, czy pamięta zagonki, które opuścił i opowiadają mu o bujnych runiach i znoju żniwa, którego z nimi nie podzielili. Kruszą ser i wspominają bydlęta, które chował, prawią mu dzieje krowy rodzicielki i byków pracowitych, których nie zobaczy wskroś ziemi, co mu oczy zakryła.

Całą historyę ludzi chatnich i dobytku opowiadają mu, spożywając tę ucztę, i na piasek mogiły kładąc wszelkiego posiłku cząstkę, dla tego ducha współbiesiadnika.

Potem pod wpływem libacyi rozczulają się zbierają się w gromadki, gwar rozmów staje się żywszy, wspominają różne dziwy, strachy; a wreszcie smętek i zawodzenie przechodzi w jakąś dziką uciechę z wiosny, z życia, wśród mogił roją o swatach, o weselach, — rozpoczynają się śpiewy i śmiechy.

Zbierają się do odwrotu, sprzątając resztki jadła i ciągną ku wsi gwarnym tłumem niczem nie przypominającym żałobnego obrządku.

Wieczorem wracające pastuszki odwiedzają cmentarz. Bieleje cały od nowych fartuszków ofiarnych — na krzyżykach błyszczą paciorki i „życzki czerwienieją“. Chłopaki rabują potrosze, a potrosze szperają po ziemi, szukają kołacza lub sera.

Po ich przejściu mogiły znowu zostają opustoszałe, i nikt już nieboszczyków nie odwiedza aż do następnej „Nawskiej Wielkanocy“.

Marya Rodziewicz.

* *

Materyalna wartość oświaty.

Oświata ludu — dokona cudu. Maksymę tę powtarzają młodzi i starzy, zdobi ona nagłówek wielu pism ludowych, w tysiącach artykułów zużyto ją jako motto i niema bodaj jednego wiecа oświatowego, na którymby ją nie akcentowano i nie parafrazowano na wszelkie sposoby. Słowem jest ona na ustach wszystkich i zdawać by się mogło, że wnikła w krew i kości społeczeństwa jako dogmat niewzruszony.

Niestety jest to smutnym losem aforyzmów, że przez częste powtarzanie stają się zdawkowym frazesem, utartym komunałem i tracą jako takie werbującą siłę.

Obawiać się należy, że przydarzyło się to słusznemu i trafnemu orzeczeniu o oświacie.

Albowiem nie na tem polega doniosłość jakiegoś dogmatu, że go ludzie mniej lub więcej bezmyślnie powtarzają, lecz na tem, że weń wierzą,

tj., że działanie swoje do wskazań danego dogmatu dostosowują.

Pod tym względem jednak u nas dużo jeszcze pozostaje do życzenia.

Wyuczyliśmy się na pamięć rozlicznych naszych haseł, które zawsze mamy „na podorędziu“, gdy chodzi o palnięcie mówki wiecowej lub napisanie korespondencyjki do gazety, lecz w uczynkach naszych tych haseł gorących nie widać. Wiemy, że „zgoda buduje, a niezgoda rujnuje“, a przecież się kłócimy; wołamy „swój do swego“, a pieniądze zanosimy do obcych; twierdzimy, że będziemy „jednością silni“, a przedstawiamy obraz głębokiego partyjnego rozdarcia; wołamy „oświata ludu dokona cudu“, a na książki i pisma żałujemy pieniędzy, ze składką na cele oświatowe się nie kwapimy, a nawet z bibliotek bezpłatnych korzystać należycie nie chcemy.

Przykłady takie dałyby się pomnożyć. Lecz nie będziemy nużyć czytelników naszych.

* * *

Mówiąc o oświacie, często nie zdajemy sobie sprawy jasno, jakiego to rodzaju cudów ona dokonuje. Wielu upatruje w niej czysto abstrakcyjne, idealne dobro stosowne dla bogatych, lecz dla ubogich mało przydatne. Wielu zapomina, że oświata bardzo doniosłe praktyczne, materyalne ma znaczenie i to nawet i ten rodzaj oświaty, który na pozór z wymogami praktycznego codziennego życia nic nie ma wspólnego. Cóż mi potem — powie niejeden — że przeczytam „Pana Tadeusza“, nie sprzątnę przez to więcej żyta ani mi się świnie lepiej utuczą! Być może. Jeżeli jednak często będzie czytał dobre dzieła literackie i zasmakuje w nich, natenczas wzbogaci umysł i serce, stanie się lepszym i światlejszym, dokładniej zrozumie swój cel i swoje w świecie zadanie i ani się spostrzeże, jak te idealne dobra, które w sobie nagromadzi, dobroczynnie poczną wpływać na praktyczne wykonanie zawodu. Twierdzimy śmiało, że człowiek oczytany — chociażby wyłącznie tylko w pięknej literaturze — produktywniej będzie pracował w swoim zawodzie aniżeli taki, który od wszelkich książek stroni, a cóż dopiero, jeżeli sobie przyswoi rzetelną, praktyczną, fachową wiedzę, nagromadzoną w popularnych podręcznikach naukowych i czasopismach do potrzeb ludu zastosowanych.



Nad grobem.

* * *

Patrzymy w ostatnich dziesiątkach lat na niebywały rozwój gospodarczy społeczeństwa naszego. Rozwój ten dokonuje się na wszystkich polach. Spowodował zbogacenie się ludności i podniósł wymagania życiowe niesłychanie. Stan ten sprzyja materyalistycznemu zapatrywaniu się na sprawy gospodarcze, które zwraca bodaj

więcej uwagi na produkt, na towar, a więc na przedmiot zabiegliwości ludzkiej, niż na produkujący podmiot, czyli człowieka. Materyalizm ten uważa oświatę ludu za rzecz nieproduktywną, a przecież jasną jest rzeczą, że najgłówniejszą przyczyną obecnego rozwoju ekonomicznego jest przedewszystkiem rozrost oświaty ludowej. Nie tylko dla tego, że oświecony robotnik lepiej i wydatniej pracuje, lecz nadto, ponieważ łatwość kształcenia się powoduje ustawiczne zasilanie warstw wyższych przez dopływ dzielnych jednostek z ludu. Tym sposobem wytwarza się coraz to silniejszy stan średni, będący najważniejszym czynnikiem pomyślności powszechnej.

Jednakże produkcya tylko wtedy ma istotną wartość, jeżeli jest na nią popyt. Stolarz, chociażby wyprodukował najbardziej artystyczne meble, będzie nędzarzem, jeżeli tych mebli nikt nie kupi. Należy tedy wytwarzać popyt na produkowany towar. Pewnikiem niezbitym jest, że z wzrostem oświaty wzmagają się wymagania życiowe człowieka. Rozbudzone zaś wymagania stara się człowiek zaspokoić. I tutaj znów oświata przychodzi człowiekowi z pomocą uzdolniając go do wydatniejszej pracy i dostarczając tem samem środków do zaspokojenia wzmożonych wymagań życiowych.

Tak więc wpływa oświata dodatnio na wzrost produkcyi i konsumpcyi i przyczynia się tem samem do wzmożenia się bogactwa narodowego.

* * *

Był kiedyś czas, że ekonomia polityczna hołdowała nauce Malthusa, który lękając się przeludnienia w ograniczaniu urodzin upatrywał rękojmię przyszłego rozkwitu ludności. Tę doktrynę niemoralną i błędną zarzucono i powrócono do starej tezy Woltera, który naucza, że bogactwo państw opiera się na liczbie mieszkańców i ich pracy. To samo odnosi się do narodów. Im liczebnie liczniejszy i pracowitszy dany naród — tem bogatszy, a co zatem idzie: potężniejszy, Sama liczebność narodu nie starczy. Naród liczebnie wielki, a pracą mały musi zginąć. Główna rzecz, żeby naród potrafił dobrze i wydatnie pracować, a jak widzieliśmy, niemożliwe to bez oświaty. Lecz i na liczebność narodów wpływa stan oświaty. Jakkolwiek stwierdzono, że wysoka kultura wpływa ujemnie na płodność narodów tak z drugiej strony pewna, że pod wpływem kultury przedłuża się przeciętnie trwanie życia ludzkiego i zmniejsza śmiertelność. Zatem: podczas gdy w nieoświeconych społeczeństwach rodzi się dużo dzieci i dużo umiera, a dorośli krótko żyją, w krajach, gdzie oświata wysoko stoi, dzieje się przeciwnie. Ostateczny wynik porównania wypada na korzyść ludów oświeconych także w tej dziedzinie. Jak zaś prędko i dotitnie uwydatnia się wpływ oświaty na zmniejszenie śmiertelności, na to przykładu dostarcza statystyka niemiecka, z której wynika, że pomiędzy r. 1890 a 1900 umarło akurat tyle ludzi, co pomiędzy r. 1870 a 1880, a zapomnieć nie trzeba, że w tym czasie pomnożyła się ludność niemiecka o kilkanaście milionów głów. Rezultat zmniejszonego analfabetyzmu w tym czasie wprost wspaniały.

* * *

Oczywiście, że trudno, a raczej niemożliwem byłoby w cyfrach ścisłych wykazać dobroczynny wpływ bibliotek, czasopism, teatrów, muzeów, towarzystw oświatowych i innych urządzeń oświatowych. Spostrzeżemy go jednak natychmiast, jeżeli porównamy kraje, w których grasuje analfabetyzm, z krajami dbającymi o oświatę. Pod tym względem cennych wskazówek dostarcza statystyka austryacka. Statystyka ta oblicza nasamprzód czysty dochód, jaki cały produktywny obszar poszczególnych krajów przynosi, następnie dzieli sumę przypadającą na każdy kraj przez liczbę osób w rolnictwie krajowem zatrudnionych. W ten sposób otrzymuje się liczby uwydatniające; czysty dochód przypadający na każdego poszczególnego osobnika na roli pracującego. Te cyfry zaś porównane z cyframi oznaczającemi procent analfabetów wydają wielce znamienne i pouczające wyniki. I tak wynosił dochód czysty na głowę w Dalmacyi, gdzie jest 72,6 procent analfabetów, tylko 5,42 koron; w Galicyi, gdzie analfabetów jest 56 pro-



W dzień zaduszny na cmentarzu.



KATAKUMBY RZYMSKIE.



Na opuszczonej mogile.

cent, 8,20 koron na głowę; tymczasem na oświeconych Morawach, gdzie tylko 5 procent jest analfabetów, wynosił czysty dochód na głowę aż 40,41 koron. Znaczy to, że światły rolnik morawski 5 razy bogatszy jest od rolnika galicyjskiego, a 8 razy bogatszy od Dalmatyńca. Za to tak Galicya jak Dalmacya toną w mrokach analfabetyzmu, gdyż w Galicyi większa połowa, a w Dalmacyi trzy czwarte ludności nie potrafi pisać i czytać, — podczas gdy na Morawach tylko 5 ludzi na sto jest analfabetami.

Na tym przykładzie znowu widzimy, że oświata bynajmniej nie jest dobrem wyłącznie tylko idealnem, lecz że ma doniosłe i ważne praktyczne i materyalne znaczenie, wartość, dającą się poniekąd obliczyć w brzęczącej monecie.

* * *

Któżby nareszcie śmiał przeczyć, że uszczęśliwia ona nadto człowieka, że czyni go lepszym, zacniejszym, że hartuje wolę, zaostrza sumienie, podnosi ducha obywatelskiego i narodowego, że chroni od złych przyjaciół i występków? Toż światłe społeczeństwo i w polityce szczęśliwsze, nie podlega tak łatwo podszeptom demagogów, łatwiej się wystrzega zarówno ułudnych nadziei jak szkodliwego przygnębienia i rozpaczy...

Więc nie powtarzajmy tylko ustami frazesu o oświacie, lecz otwóżmy dla niej samej serca i umysły. Czerpmy ją skąd można, a użyczmy jej też współbraciom, agitując za rzetelną oświatą. Nieskąpmy nareszcie grosza na zasilanie Towarzystw Czytelni Ludowych, pamiętajmy, że tysiące jeszcze braci naszych łaknie zdrowego, jędrnego pokarmu duchowego.

Nieśmy im oświatę!

Złote myśli.

Ach, dzisiejsze życie tak liche i tak mało warte! Oto każdy wlecze swój własny ciężar, każdy ma przed sobą własny jakiś cel, a nic się nie robi dla jakiejś wzniosłej idei, któraby potęgą swoją porwać zdołała duszę.

* * *

Można z korzyścią przyjąć naukę nawet od nieprzyjaciela, ale nie nazbyt jest bezpiecznie dawać nauki nawet przyjacielowi.

Tajemnice.

Jak mąka przez sito, jak woda przez palce, tak przez usta nasze przelewają się wartkim strumieniem niebaczne słowa, zdradzające cudzą tajemnicę.

Rzekłbyś, niema w naszej duchowej głębi zakątka, gdzieby ów szacowany depozyt mógł sobie poleżeć spokojnie. Niby drzazga za paznogciem, dopóty dokucza, doskwiera, dopóki nie wyciągniemy go na powierzchnię języka, dopóki nie rzucimy światu...

Kto złożył tajemnicę z ufnością w sercu domniemanego przyjaciela, nie wie, nie podejrzewa nawet, ile to ust mełło na plewę ten starannie ukrywany przed światem owoc jego myśli, uczuć lub pragnień!

Powierzone sobie pieniądze zamykamy „na trzy spusty" w głębi szaf ogniotrwałych, czuwamy nad nimi, gdyż za całość ich własną kieszenią odpowiadać jesteśmy zmuszeni. Za roztrwo-



NATURALISTA.

nienie cudzych tajemnic niema dotąd stosownej pieniężnej rekompensaty w rubrykach paragrafów karnych, więc...

Czyż jednak nie czujemy moralnego nakazu w postaci wyrzutów sumienia, następujących rychło po spełnieniu tego, nawskroś nieszlachetnego czynu? Zapewne. Głos jednak sumienia, głos rozsądku zbyt słabym jest dotąd hamulcem do poskromienia naszej gadatliwości; przedsmak przyjemnej gawędki ze znajomym lub znajomą o cudzym bólu, o cudzej trosce, która niby leży nam na sercu, zagłusza poczucie sprawiedliwości, przeszkadza trzeźwej ocenie własnego postępowania w tym razie. „Tak się jakoś wymówiło niechcący“, oto najczęstsza obrona języka, tego obosiecznego miecza. „Tak i język, mały członek, wszakże bardzo się wynosi. Oto maluczki ogień jako wielki las zapala“, mówi św. Jakób Apostół. Aby cudzych tajemnic nie roztrwaniać, powierzonymi nam poufnie skarbami nie szafować, trzeba przedewszystkiem uświadomić sobie dokładnie, jak powstają tajemnice, z jakiego źródła biorą początek. Jak wielkie rzeki i strumienie rodzą się ze śniegów w nieprzebytych przepaściach i szczytach górskich, tak z łez samotnych, z tęsknot i cierpień nad siły, w niedostępnych czeluściach ludzkiego ducha poczynają się tajemnice.

Czasem są to smutne lub sromotne nawet szczegóły, dotyczące urodzenia drogiej nam osoby; innym razem zdrada małżeńska, której wspomnienie kirem duszę powleka; to znów hańbiąca przeszłość bliskiego nam osobnika, lub upadek młodej, nieświadomej życia dziewczyny, to znów nieszczęśliwe, nie dające się stłumić kochanie... i t. d. Nosimy w duszy ten ciężar przeróżnych tajemnic, trawimy się bólem, troską...

I nastaje chwila, kiedy siły duchowe i fizy-

czne odmawiają posłuszeństwa. Za ciężko nam, szukamy u osoby zaufanej, której wierzymy, rady, pokrzepienia, pomocy.

Po długich utarczkach ze sobą niesiemy do skarbnicy drugiej duszy poczętą we łzach, serdeczną naszą tajemnicę.

I... oddajemy ją nieświadomie na łup niepowściągliwego języka, na żer wiecznie łaknących nowin uszu.

Wyrobienie i uświadomienie społeczne chociaż osłabiło nieco tę szkodliwą wadę w mężczyźnie, nie usunęło jej jednak w zupełności; aby osiągnąć rezultaty dodatnie należy przeciwstawić zdwojony wysiłek woli.

Kobieta pod tym względem pozostała w tyle: gadatliwość i plotkarstwo niewiast znane jest ogólnie. Z chwilą jednak, gdy i ona poczuje się jednostką odpowiedzialną, niezbędnem, szacownem kółeczkiem w wielkiej maszynie wszechludzkiej, znajdzie lekarstwo na ową brzydką wadę, własnemu językowi „okoniem się postawi", a usta jej staną się dla cudzych zwierzeń przysłowiową „kłódką bez klucza", po za którą każda tajemnica, błaha, czy ważna, uleży sobie bezpiecznie.

Podróż na około świata w beczce.

Tysiące już lat myśli człowiek i pracuje nad polepszeniem doli swej, swego bytu.

Skutki tych zabiegów olbrzymie. Lotem ptaków przerzuca się z jednego miejsca na drugie. Wielkie, dawniej nieprzebyte obszary wód przepływa w ciągu kilku dni, zamiast drewnianych domków i glinianych lepianek buduje niebotyczne „drapacze nieba". Myśl swoją lotem błyskawicy rozsyła po całym globie.

Wszystko, wszystko, co tylko można było ujarzmić — ujarzmił i rzucił sobie, jako panu, pod nogi: i przestworza, i wnętrze ziemi, i wody rozhukanych mórz, i wichry... Gdzie spojrzysz i co zobaczysz — to wszystko w niewoli u człowieka. A kiedy spocznie, kiedy powie: „już mam dosyć" — trudno przewidzieć.

Czasami tylko rodzą się jednostki, które objąwszy okiem duszy ogrom pracy człowieka, mówią: „Dla nas starczy — będziemy używać" — i używają.

To pasorzyty...

Nie ominą, nie zapomną niczego, co może im dać chwilę rozkoszy, chwilę zadowolenia.

Do takich zaliczyć można dwóch Włochów: Zanardi Attilio i Vianello Eugeniusz, którzy postanowili odbyć podróż naokoło świata w beczce! Sprytni... gdyby zostali się w domu, nie wiedziałby o nich świat, nie zostaliby... bogaczami!

Pielgrzymka ta podjętą została niby to na skutek zakładu z pewnym milionerem amerykańskim o poważną sumę pieniężną. To zdaje się jednak jest tylko anegdotką, którą się tłumaczą owi podróżni wobec świata. Główną przyczyną tej sensacyi jest myśl łatwego zarobku.

Panowie Zanardi i Vianello są mieszkańcami Wenecyi, skąd wyruszyli w podróż naokoło świata 20 czerwca 1909 r. w beczce własnej konstrukcyi.

Beczka ta ma 2 i pół metra długości i 1$^1/_2$ m. wysokości. Wewnątrz jej mieści się łóżko i inne niezbędne dla podróżników przedmioty, tak zaś jest urządzona, że cała jej zawartość umocowana na ruchomej osi, pomimo obracania się beczki, pozostaje wciąż w pozycyi poziomej. W beczce tej może więc jeden z podróżników swobodnie odpoczywać, gdy drugi ją popycha; jeżeli w drodze nie znajdą odpowiedniego schronienia obaj nocują w beczce.

W ciągu 15 miesięcy panowie ci zrobili około 10,000 kilometrów, przebywszy Północne Włochy, Szwajcaryę, Francyę, Anglię, Belgię, Holandyę, państwo niemieckie, Królestwo Polskie i część Austryi.

Najowacyjniej przyjmowano ich we Francyi. W Paryżu powitani zostali przez syndykat bednarzy z orkiestrą na czele. Z Paryża udali się przez Calais do portu, skąd odjechali do Anglii. Podług objaśnień podróżników, od czasu opuszczenia Szwajcaryi, najcięższą drogę do przebycia mieli przez Bolonię i cieśninę pas de Calais. W czerwcu r. b. przybyli do Berlina, gdzie byli przyjęci bardzo gościnnie.

Z Berlina przez Poznań przeszli do Królestwa Polskiego, stąd udali się do Galicyi, przebyli Galicyę, lecz na południu, w Misku, zostali zaaresztowani, jako włóczęgi bez określonego zajęcia. Posuwają się naprzód bardzo wolno, robiąc dziennie tylko około 15 kilometrów.

W dziwnej tej podróży towarzyszy wędrowcom trzeci podróżnik — Wiktor Rossi, ale ten pozostaje w stosunku do dwóch pierwszych w roli świadka, opiekuna i kontrolera; jest on korespondentem gazet włoskich, francuskich, angielskich i amerykańskich.

Wszędzie, gdzie się pokażą ci podróżnicy, panuje wielkie zaciekawienie, połączone z entu-



Spotkanie w Karpatach.

zyazmem; ogromny pokup na karty pocztowe z podobiznami podróżników i towarzyszącej im beczki w rozmaitych pozach, daje ich sprzedawcom ogromne zyski, a sprzedaż pocztówek przynosi dochód tak okazały, że stokrotnie wynagradza trudy i niewygody tej ekscentrycznej podróży. Prawie każdego dnia targowali panowie Włosi po kilka, a nawet po kilkanaście i kilkadziesiąt rubli za swoje podobizny, zachodzi więc przypuszczenie czy ci „królowie beczki i drogi bitej", jak się sami nazwali, zebrawszy, a właściwie wycyganiwszy od otumanionych znaczne skarby, nie drapną tam, skąd przyszli, zostawiwszy źródło swych bogactw beczkę bez den gdzie w przydrożnym rowie

Przygoda z garbem.

W drukowanych obecnie w „Dzienniku Poznańskim“ i „Czasie„ wspomnieniach *Heleny Modrzejewskiej* znajdujemy następujące zabawne wspomnienie z początków jej karyery artystycznej, gdy jeszcze grywała w trupie wędrownej w Galicyi.

Jeden z naszych aktorów, pisze Modrzejewska, człowiek młody, zdolny i władający piórem, a zagorzały zwolennik melodramatu francuskiego, stworzył (czy popełnił?) sztukę, osnutą na tle francuskiej powieści, pod tytułem „Garbus“. Bohater sztuki udawał przez trzy akty garbatego, dopiero w stanowczej chwili prostował swą sążnistą postawę, żeby opryszków skarcić i unicestwić ich zdradliwe podstępy. Otóż aktor ów mniemając, że zwykłe sposoby nie starczą, by dać wrażenie człowieka garbatego, kupił pęcherz, wydął go i wpakował pod surdut na prawej łopatce. Następnie stolarzowi polecił deskami podstemplować jedną kolumnę tak silnie, by nie ugięła się, gdy oparłszy się o nią, pęcherz wygniecie i spłaszczy i tak w oczach widzów z garbatego stanie się rosłym i smukłym, jakim był rzeczywiście. Zapomniał jednak o wieczystem i nieugiętem przykazaniu teatralnem: „Niczego grać nie będziesz, dobrze nie wypróbowawszy wprzódy“.

I gdy chwila stanowcza nadeszła i opryszki brali górę, bohater nasz podbiegł pod kolumnę, z mocą szturchnął o nią plecami i... odbił się od niej tak zamaszyście, że się ledwie w pół sceny zatrzymał, a garb-pęcherz piętrzył się równie nadęcie! Rozpaczliwe próby tłuczenia garbu o podpierające kolumnę deski spełzły na niczem.

Ja grałam wówczas nieszczęśliwą dziewicę, oczekującą ślubu z nienawidzonym człowiekiem. Stałam w ślubnej sukni w pobliżu garbusa, a oboje byliśmy częściowo zakryci tłumem statystów. Nie wiedząc o co mu chodzi, zauważyłam, jak się z kolumną boryka, gdy nagle spostrzegłam, że dobywa noża... Z przerażeniem patrzyłam mu na rękę, widząc, że w strasznem jest podnieceniu, którego źródła nie mogłam odgadnąć, a on do mnie podszedł i z dziką rozpaczą w twarzy, podając mi nóż, wyszeptał:

— Błagam, przebij mi pęcherz!

— Co takiego? — zawołałam.

— No przetnij mi pani, do djabła, ten przeklęty pęcherz na plecach! — wyszeptał zniecierpliwiony.

Wtedy zrozumiałam i co żywo, ale ukradkiem, wbiłam nóż po samą rękojeść w garb bohatera, gdy nagle... Nie! to było wręcz straszne: gdy wyciągnęłam nóż z garbu, pęd powietrza, wydostając się, zaczął pogwizdywać cienko i przeraźliwie.

Ten świst niespodziewany pobudził mnie do szalonego śmiechu. W widowni nic nie zauważono, ale ja zanosiłam się wręcz od śmiechu, patrząc na twarz bohatera, dławiącego przekleństwa z zaciśniętemi zębami. I wtedy, posłyszawszy wyraz, po którym wkraczałam już w akcyę, zarzuciłam sobie welon na twarz, chustkę przycisnęłam do ust i w ten sposób, ze spuszczonemi oczyma, wystąpiłam na przód sceny. Czułam, że parsknę, gdybym tylko otworzyła usta, udałam więc zemdlenie i runęłam jak długa, na ziemię, trzęsąc się od tłumionego śmiechu.

Zasłona spadła. Bohatera oklaskiwano. Moje zemdlenie uchodziło powszechnie za należące do akcyi melodramatu, a jeden z krytyków podniósł nawet oryginalność mego powalenia się na ziemię. Łatwo sobie wyobrazić, jak się ubawiłam, czytając nazajutrz:

...i wtedy tyłem się odwróciła od publiczności ale wszyscy widzieć mogli tę straszną mękę, wstrząsającą ciałem jej, tak smukłem ciałem; wtedy ostatnim, rzekłbyś, wysiłkiem na twarz zarzuciła sobie zasłonę i na ziemię padła martwa, a jeszcze cierpieniem drżąca“...

Z dziejów samochodu.

Konstruktorem pierwszych samochodów był mechanik francuski Józef Cugnot, urodzony w miasteczku lotaryńskiem Void w r. 1725. Zbudowany przez niego wóz parowy znajduje się obecnie w paryskiem Muzeum Sztuk i Rzemiosł. Wóz ten biegł z szybkością czterech kilometrów na godzinę, lecz co kwadrans się zatrzymywał, potrzebując 15 minut czasu dla zasilenia kotła. Próby z tym pierwszym samochodem odbywały się na ulicach Paryża w r. 1769, w obecności ministra wojny, ks. Choiseul i innych dostojników. Wykazały one, iż samochód Cugnota nie nadaje się do przewożenia ciężarów po ulicach miasta; sądzono jednak, iż z pewnemi zmianami, znajdzie zastosowanie do przewożenia ciężkich dział fortecznych. Wynalazca otrzymał zasiłek rządowy i zbudował drugi samochód, na tych samych zasadach oparty; przy pierwszych jednak próbach, maszyna, nieumiejętnie kierowana, rozwaliła mur domu, a niepowodzenie to pozbawiło Cugnota

protekcyi rządowej. Niezrażony wypadkiem, wynalazca obmyślił nowy parowóz, o ulepszonej konstrukcyi. I tego los jednak był niepomyślnym, rozbił się bowiem, zawadziwszy o narożnik kamienicy na placu Madeleine. Okoliczności te sprawiły, iż dalsze próby z niebezpiecznym przyrządem zostały wzbronione. Zawiedziony w nadziejach, Cugnot umarł w zapomnieniu. Gdy wszakże samochody zaczęły się rozpowszechniać, przypomniano sobie, że on był pierwszym ich konstruktorem i postanowiono go uczcić pomnikiem wzniesionym w jego rodzinnem mieście Void, według projektu artysty-rzeźbiarza Dezyderyusza Fossego.

Po Cognocie, nad budową samochodów pracowali: Amerykanin Robinson w r. 1774 i znakomity inżynier angielski, James Watt w r. 1784. Pomysły ich również nie znalazły praktycznego zastosowania. Szczęśliwszym był Ryszard Trevetick, wynalazca angielski. Zbudował on w roku 1802 wóz motorowy, przeznaczony do kursowania po zwykłej drodze, gdy jednak wóz poruszać się nie mógł, ułożono na drodze podkłady żelazne. Po tych podkładach wóz biegł dość szybko, lecz w miejscowościach spadzistych koła ześlizgiwały się, musiano używać hamulców, co okazało się zbyt uciążliwem.

W r. 1825 występuje z nowym pomysłem samochodu inżynier Gurney, o którym „Magasin Universel" z r. 1834 podaje szczegóły następujące:

„Inżynier angielski Gurney zbudował wóz motorowy, który poruszał się nawet po stromych drogach. Ale wynalazek jego miał wadę: był bardzo ciężki, ważył bowiem 8,000 funtów. Gurney zatem udoskonalił go. Nowy jego samochód, znacznie lżejszy, składał się z dwóch części: w jednej, podobnej do breku, mieściła się machina parowa; w drugiej, znajdującej się z tyłu, sadowili się podróżni. Za pomocą przyrządu korbowego, konduktor wprawiał w ruch dwa koła przednie i kierował pojazdem dowolnie, a nawet mógł go cofać. Pojazd ten kursował przez 4 miesiące 1831 roku, pomiędzy Glocester i Cheltenham, na przestrzeni 3 i pół mili, przewożąc po 36 osób z bagażami. Po 4-ch miesiącach drogę musiano naprawić. Nawieziono na nią warstwę świeżej ziemi, w której koła pojazdu tak się zagłębiały, że trzeba było użyć większej siły do przezwyciężenia oporu. Wówczas machina uległa strzaskaniu.

Samochodom jednak groziło niebezpieczeństwo z innej strony. Właściciele dyliżansów konnych przeczuwając, że nowo wynalezione pojazdy mogą ich przyprawić o bankructwo, przekupili komisarzy drogowych i przy ich pomocy osiągnęli, iż Parlament nałożył na samochody podatek o wiele większy, aniżeli opłacali oni od swoich wehikułów. To wstrzymało rozwój samochodów, jak również i to jeszcze, że do Parlamentu wniesiono petycyę o zupełny zakaz komunikacyi samochodowej, jako zagrażającej życiu ludzkiemu. Lecz zwolennicy nowego wynalazku nie siedzieli też bezczynnie. Zażądali gruntownego rozpatrzenia sprawy. Jakoż wyznaczona komisya specyalna przyszła do następujących wniosków.

„Samochody na drogach zwyczajnych mogą kursować z szybkością 3 mil na godzinę. Z tą szybkością mogą przewozić po 14 pasażerów. Ciężar pojazdu, wraz z pasażerami, ich bagażami, wodą i węglem, nie przenosi 7,000 funtów. Posiadając koła szerokie, mniej niszczą drogi, aniżeli pojazdy zaprzężone końmi, których kopyta szybko uszkadzają bite gościńce. Podróżni nie są narażeni na żadne niebezpieczeństwo, a przytem jeżdżą wygodniej, szybciej i taniej. Samochody mogą kursować nawet po drogach pochyłych. Wszystkie te względy przemawiają za tem, żeby samochodom nietylko nie wzbraniać kursowania, ale żeby zmniejszyć nałożony na nie podatek".

Parlament angielski uznając słuszność wniosków komisyi, pozwolił kursować samochodom i podatek, obciążający je, znacznie obniżył, „aby dać możność rozwinięcia się nowemu rodzajowi komunikacyi, która z pewnością odda Anglii wielkie usługi".

Odtąd datuje się rozwój samochodów. Zjawiają się coraz to nowe pomysły, ulepszające wynalazek Gurneya. Do najgłośniejszych należał pomysł d-ra Churcha z Birminghamu. Konduktor i podróżni zajmują całą przednią część pojazdu, maszyna zaś umieszczona jest z tyłu. Woda rozprowadzona w cienkich rurach, szybko się ogrzewa i zamienia w parę. Konduktor, siedzący na przodzie, wprawia w ruch przednie koło trycyklu i dowolnie kieruje wozem. Koła szerokie nie rujnowały drogi. Samochód Churcha kursował z Londynu do Birminghamu, a stamtąd do Manchesteru i Liverpoolu, z szybkością 5 mil na godzinę. W porównaniu z zawrotną szybkością samochodów dzisiejszych, była to podróż żółwia, ale jak na początek, stanowiła poważny zysk na czasie.

Wysokie są Alp i Tatrów szczyty, ale wyżej sięgają zacne człowieka sprawy.

Brodziński.

Artylerzysta siłacz.

Organizacya artyleryi, stosownie do różnego jej przeznaczenia, dzieli się na polową, oblężniczą, wałową i nadbrzeżną; każda też z nich przedstawia pewne różnice, tak co do swej stony materyalnej, jak również co do urządzeń. Najważniejszą z tych gałęzi jest artylerya polowa, ona to bowiem rozstrzyga losy bitew, a więc i losy wojny. Jednostką organizacyjną jest baterya czyli kompania, z 6 w Niemczech i we Francyi, a z 8 w Rosyi i Austryi armat złożona, stosownie do gatunku armat zwana: ciężką lub lekką.

Obecnie armaty w pięciu pierwszorzędnych państwach Europy są stalowe, rżnięte, nabijane od tyłu. W wagomiarze także mało różnią się pomiędzy sobą, zawiera się on bowiem dla ciężkich pomiędzy 87 i 90 mm., a dla lekkich pomiędzy 75 i 80 mm. Zaprząg pod działa, ciężkie czy lekkie, składa się jednakowo z 6 koni; przy każdej armacie musi być trzech jezdnych kanonierów. Obsługi przeznacza się dla armat ciężkich po 7, a dla lekkich po 6 ludzi. Wszyscy oni, podczas ruchu bateryi, zajmują miejsca na przodkarzu i łożu. Służba przy armatach konnych składa się z 9 ludzi, ale między nimi jest 3 woźniców. Każda baterya ma przy sobie, dla przewożenia ładunków, pewną ilość wozów amunicyjnych, których na baterye ciężką liczy się 16, a na lekką i konną 12.

Wozy te są czterokołowe, zaprzężony każdy w 6 koni, z 3 jezdnymi kanonierami. Prócz tego każda kompania posiada tabór, z 8 wozów złożony. Tak więc baterya ciężka na stopie pokojowej zawiera: 6 oficerów, 195 szeregowców, 8 armat, 49 koni, 16 wozów amunicyjnych; lekka: 6 oficerów, 160 szeregowców, 8 armat, 49 koni, 12 wozów amunicyjnych; konna: 5 oficerów, 167 szeregowców, 186 koni, 12 wozów amunicyjnych. Na stopie zaś wojennej baterya ciężka liczy: 6 oficerów, 237 szeregowców, 8 armat, 217 koni, 16 wozów amunicyjnych; lekka: 6 oficerów, 205 szeregowców, 8 armat, 191 koni, 12 wozów amunicyjnych; konna: 5 oficerów, 180 szeregowców, 6 armat, 205 koni i 12 wozów amunicyjnych.

Do artyleryi polowej należą jeszcze bateryе górskie, każda w liczbie 8 dział 2—5 calowego wagomiaru, ważące tylko po 6 pudów; te w potrzebie przewożą się na koniach jucznych, a w podobny sposób przewozi się i amunicya. W miejscowościach stromych i bezdrożnych, niedostępnych dla koni, armaty przeciągać muszą sami artylerzyści. W przewidywaniu takich wypadków, do obsługi bateryi górskich powołuje się ludzi szczególnie silnych. Jedna z włoskich bateryi górskich, załogująca w Conegliano Trevizo, szczyci się posiadaniem niezwykłego siłacza. Jest nim bombardyer Dominik Bettesse. Przenosi on sam na barkach działa polowe i poczytuje sobie to za igraszkę.

TO I OWO.

Nierównomierność ciała ludzkiego.

Znanem jest powszechnie zjawisko, że obie połowy ludzkiej twarzy mniej lub więcej różnią się od siebie. Wystarcza niejednokrotnie przelotne spojrzenie, aby się o tem dowodnie przekonać. Do nowych jednak interesujących rezultatów doszedł francuski antropolog Godin po szeregu bardzo skrupulatnych badań. Stwierdził on mianowicie, że także w uszach ludzkich zachodzi różnica i to nieraz bardzo znaczna. Wśród stu chłopców w wieku lat 13, których Godin badał pod tym względem, 89 miało lewe ucho dłuższe, aniżeli prawe, tylko w jednym wypadku prawe ucho było dłuższe od lewego. Wśród stu badanych dwudziestotrzechletnich młodzieńców 79 miało lewe ucho dłuższe, niż prawe. Pomiary przeprowadzone na 100 żołnierzach dały mniej więcej podobny rezultat. Szczególnie charakterystycznym jest jeszcze inny fakt, zaobserwowany przez Godina. Oto z biegiem lat różnica długości coraz bardziej się zmniejsza i wyrównuje. Młodzi ludzie, u których w 13 roku różnica wynosiła 5 milimetrów, badani w 5 lub 6 lat później, mieli już różnicę długości obu uszów tylko do 3 milimetrów. Obserwacye Godina dowiodły także, że wszyscy ludzie, u których nierówność uszu wynosiła ponad pół centymetra, byli mniej lub więcej upośledzeni na umyśle. Badacz francuski prowadzi w dalszym ciągu swoje obserwacye, nie wyciągając z nich dotąd ostatecznych wniosków.

Muzykalna krowa.

Z Niederhofu w Austryi donoszą do wiedeńskiej gaz. „Reichspost“ o następującym ciekawym wypadku. Przed kilku dniami włościanin miej-

scowy pędził krowę do rzeźnika na zabicie. Krowa, czy to ze zmęczenia, czy też przewidując swój smutny koniec, położyła się nagle na środku drogi i wyciągnęła nogi przed siebie. Ani bicie, ani przekonywania nie pomogły i biedny podróżny byłby popadł w rozpacz, gdyby nie wybawił go z nieszczęścia przejeżdżający właśnie kołownik. Pędząc na kołowcu, zauważył on z daleka olbrzymią krowę przegradzającą drogę i zaczął mocno przygrywać na trąbce ostrzegawczej. Wesoły ton trąbki widocznie wywarł silne wrażenie na krowę, gdyż nagle wstała i poszła całkiem zadowolona swoją drogą. Przyszedłszy do wrót miasta, krowa znowu padła i zdało się, iż już ma zdechnąć. Teraz włościanin już wiedział, co ma robić. Zawołał kołownika i kiedy ten znowu zagrał na trąbce, krowa powtórnie wstała i poszła dalej. Aby jednak zabezpieczyć się od dalszych upadków, urządzono pochód w ten sposób: na przedzie szedł włościanin, za nim krowa, na końcu kołownik, wciąż grający na trąbce, a naokoło — tłum zaciekawionych włościan, żołnierzy i przygodnych widzów. W ten sposób krowa doszła wreszcie do rzeźni i obecnie pozostają z niej tylko kości.

Sprzedawał włosy papieża...

W pałacu papieskim zauważono, że jeden ze służby najbliżej papieża, niejaki Antoni Graziadel posiada zawsze sporo gotówki i pozwala sobie na większe wydatki, niż na to może mu starczyć pensya. Śledząc go bliżej, stwierdzono, że pomysłowy ten sługa sprzedawał włosy papieża za grube pieniądze naiwnym pielgrzymom, zwłaszcza cudzoziemcom. Gdy papież dawał włosy strzydz nadwornemu balwierzowi, Graziadel zbierał je i następnie sprzedawał. zebrawszy za nie kilka tysięcy lirów. Pomysłowego sługę wydalono, a kilka loków papieskich, jakie miał przy sobie, skonfiskowano.

Gdzie umiera najwięcej dzieci?

Przed 80 laty, gdy w Norwegii prawie każdy dom włościański miał swą własną małą gorzelnię i pijaństwo było najbardziej rozgałęzione, na 1000 noworodków umarło 300 w pierwszym roku życia. Rozpoczął [się wówczas w Norwegii silny ruch wstrzemięźliwości, a lud uświadomiony przeprowadził prawa, znoszące gorzelnie domowe i ograniczające sprzedaż trunków.

Następstwem tego było, że śmiertelność niemowląt zmiejszyła się ogromnie i wynosi dziś zaledwie 80—90 na tysiąc. Dziś wzrasta tam nowe, silne i zdrowe pokolenie.

W Bawaryi zaś, w klasycznym kraju piwa, panują dziś te same stosunki co ongi w Norwegii, i na 1000 niemowląt umiera około 300 w pierwszym roku życia. Na 237,000 noworodków, rocznie przychodzi na świat około 6500 nieżywych; z pośród 230,000 dzieci urodzonych żywo, umiera już w pierwszym roku życia 69,000.

Oczywiście, że przyczyną tej wysokiej śmiertelności jest ów „napój ludowy“ — piwo.

Najdroższy pies na świecie.

Niedawno w Kalkucie zdechł „najdroższy pies na świecie“ własność pana Waltera Jeffries. Ten drogocenny pies oceniony na 1,200 funtów szterlingów był buldogiem i zwał się Dick Stone, posiadał on podobno wszystkie zalety psiego rodu. O posiadanie Dick Stone'a ubiegali się wszyscy miliarderzy amerykańscy i maharadżowie indyjscy, a którzy ofiarowywali p. Walterowi Jeffries'owi bajeczne sumy, lecz p. Jeffries nie chciał się rozstać ze swym ulubieńcem i dumą swej psiarni.

Dick Stone zdechł w „kwiecie wieku“, gdyż liczył zaledwie 6 lat życia, zleciał on z wysokiego tarasu i potłukł się tak, że wszelkie zabiegi lecznicze, jakich nie szczędzono „najdroższemu psu“ nie pomogły.

Na wieść o wypadku ze Stonem, mieszkanie p. Jeffriesa było przez dwa dni formalnie oblężone przez reporterów pism, którzy dobijali się o szczegóły opisu śmierci psa i o „wspomnienia z jego życia.

Zwinność zwierząt.

Pewien uczony niemiecki p. Oldhausen, który poświęcił się badaniu życia zwierząt, obliczył pomiędzy innemi szybkość ich ruchów. Okazało się, że najpowolniejszem stworzeniem na świecie jest ślimak, który w ciągu godziny przechodzi zaledwie 40 centymetrów, odpoczywając ze zmęczenia co parę centymetrów. Najszybszą zaś jest pchła, której szybkość równa się 275 metrom na minutę, co stanowi 16 i pół kilometra na godzinę.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Z miny starego — nie! To filut! Ale z jego postępowania! On — zanadto hojny!

— Jakto?

— Ano — Kostuni Dąbrowskiej dał raptem dwa dywany, Zosi Zwolińskiej pierścionek, a Jadzia wiecie co dostanie?

— Co? Co? — pytały pół ciekawie, pół zawistnie.

— Całe stołowe srebro i kolczyki.

Jadzia była czerwona z radości, tamta czerwona z zazdrości i żalu.

— Srebro i kolczyki! Mój Boże!

— To podejrzane! On się przymila do nas!

— Musi tam coś być — ale co?

— Dowiemy się! — dopowiedział chór.

W trzy dni potem wiedziały i wiedziało pół Warszawy, że Andrzej porzucił żonę i pojechał z panią Celiną za granicę, w tydzień mówiono, że odesłał już przedtem żonę do rodziny, bo ją zastał u Radlicza na schadzce, gdy mu w pracowni pozowała, w stroju — żadnym...

A tymczasem rzeczywiście na Marszałkowskiej prezes był wciąż sam.

Od Kazi otrzymał list, że babka umarła, a macocha ciężko zasłabła, w parę dni potem depeszą został zawezwany do Gurowa doktór Downar i wieści się urwały.

Co prawda mniej to gryzło prezesa, jak nieobecność syna.

Gdy się przekonał, że go niema w fabryce, parę dni udawał swobodę, ale gdy się dowiedział, że pani Celina wyjechała, i gdy Kołocki znowu go napadł o obraz Radlicza, stary postanowił rzecz wyjaśnić i posłał kartkę, prosząc malarza do siebie.

Radlicz stawił się natychmiast. Prezes się nim opiekował w szkołach, był mu jak krewny, zresztą myślał, że ujrzy Kazię.

Ale dom wiał pustką i chłodem, stary był chmurny i stękający.

— Powiedz mi, mój drogi, czy to być może, żeby Andrzej za tą starą awanturnicą poleciał?

Radlicz wobec troski starego poczuł wyrzuty sumienia i niebywałe postanowienie mówienia prawdy.

— Co znowu! To ona od niego uciekła!

Prezes nagle o dziesięć lat odmłodniał.

— Nie może być? Bajesz, byle mnie pocieszyć? Naprawdę go rzuciła? A on? Co?

— On desperuje. Chciał gonić i strzelać! Alem wyperswadował! Pojechał do Kijowa, żeby się otrzeźwić!

— I tydzień tam siedzi! To nie może być! Albo łżesz, albo sam prawdy nie znasz!

— Że baba drapnęła, wiem, że on desperował, wiem, żem go wyprawił, by ludziom zeszedł z oczu, też wiem, a czy potem nie poleciał za nią, tego nie wiem!

Prezes znowu o dziesięć lat zestarzał.

— Co teraz czynić! Warszawa się trzęsie od plotek. Czy ten człowiek ma sumienie? On mnie do grobu wpędzi! Naturalnie, poleciał za nią, to jasne jak słońce. Szatan nie kobieta. Piekło ją porodziło na moje nieszczęście. A tu, na domiar złego, Kazia tam siedzi nad chorą macochą! Wszystkie pozory przeciw niemu.

Radlicz, który plotkę sam stworzył, milczał.

Prezes począł chodzić po pokoju niespokojnie.

— Można oszaleć! Gdzież ta baba pojechała? Gdzie go szukać?

— Ona go nie chce! Żeby miał rozum i mnie słuchał, toby jej nie gonił! Teraz wróci wściekły.

— Albo ją przejedna, pogodzą się, i znowu ją tu sprowadzi.

— Wątpię! Zna pan prezes zdanie: auf das gewesene giebt der Jude nichts! To już przeszłość tylko.

W tej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju i zaraz głos, na który obadwa zerwali się.

— Kazia! Nareszcie! — zawołał prezes.

A tuż i ona stała już w gabinecie blada, mizerna, ze smutnym na licach uśmiechem.

Prezes z wybuchem radości począł ją ściskać i całować — wołając:

— Zkądże? Jakim pociągiem! Boże, jak ty źle wyglądasz! Nigdy już cię więcej samej nie puszczę Cóż tam słychać? Jak macocha?

— Źle! — odparła smutno. — Jest i ojciec, i doktór Downar poczciwy nam towarzyszył Ulokowaliśmy ją u niego w lecznicy. Zapewne będzie potrzebna operacya, przytem ma wadę serca! Bardzo źle!

Przywitała Radlicza, o Andrzeja nawet nie spytała, pewna, że jest w Grodzisku.

— A gdzież twój ojciec? — spytał prezes. — A mała? Została w Gurowie?

— Została. Ojciec musi za parę dni wracać. Będzie dojeżdżał Dla małej trzeba dziś jeszcze wyszukać dobrą bonę. A tu macocha chce, żebym jej nie odstępowała. A ja doprawdy, takam zmęczona, że ledwie stoję. Tatusiu, proszę o klucze, muszę w domu przedewszystkiem się rozejrzeć. Strasznie tu brudno i nieporządnie.

— Opamiętaj się, kobieto! — oburzył się prezes. — Spojrz jak wyglądasz. Musisz odpocząć. Do macochy dziś nie pójdziesz. Po ojca twego zaraz idę.

— A ja bonę załatwię! — ofiarował się Radlicz. — Zobaczy pani jak się na tem znam.

— Dziękuję panu. Nie bardzo ufam.

— Przekona się pani. Za godzinę przyślę tuzin do wyboru.

Pożegnał ich i wyszedł.

Ona poczęła się krzątać po domu, a prezes za nią chodził, uszczęśliwiony, że wróciła, rad chorobie macochy, śmierci babki, potłuczonym lampom, zasuszonym kwiatom, molom w dywanach, opieszałości służby, wszystkiemu, co przebyła i zastała, byle jak najpóźniej spostrzegła nieobecność męża i spytała, gdzie jest!

Po godzinie maszyna domowego życia poczęła działać prawidłowo, służba poczuła rygor i władzę.

Kazia się przebrała, gdy zaczęły napływać naganiane przez Radlicza bony.

I temu był rad prezes, chociaż i drażniło go to, że Kazia snać ani na chwilę nie pomyślała o mężu.

Nareszcie piątą kandydatkę wybrała i omówiwszy warunki i obowiązki, odprawiła do jutra.

Wtedy prezes rzekł:

— Wiesz, że Andrzeja niema?

— Widzę! Nigdy go o tej godzinie niema.

— Ale go i potem nie będzie. Wyjechał za granicę.

— Tak? Na długo? — spytała obojętnie.

— Nie mógł określić dnia powrotu. Pojechał do Berlina w interesach fabryki.

Nie pytała więcej.

Usiadła w fotelu, przymykając zmęczone bezsennością oczy.

— Trzeba iść! — szepnęła.

— Dokąd? Krokiem cię nie puszczę. Macocha pastwiła się nad tobą, zamęczała! Teraz niech sobie szuka opieki.

Otworzyła oczy.

— Była dla mnie złą, teraz jest chorą śmiertelnie. Będę jej służyć, jak córka. A ojciec!

Wstała, wyprostowała się, siłą woli otrząsając zmęczenie!

— Pójdę, tatusiu. Przyjdziemy z ojcem na obiad.

— Czekaj — utrapienie. To i ja pójdę z tobą.

Ubrał się, wyszli. Po drodze, gdy spotkali kilku znajomych, rzekł:

— Bo nie wiesz, co tu się stało! Gdyście tak oboje zniknęli z Warszawy, powstała plotka, żeście się rozeszli. Musimy się razem pokazywać.

Spojrzała uważniej na niego; zastanowiła się dopiero nad położeniem.

Tyle wrażeń innych miała w pamięci, tak się czuła jeszcze wśród trosk i wydarzeń górowskich, że z pewnym trudem wracała do stosunków swego domowego pożycia.

— Gdy Andrzej wróci, pokażemy się razem w teatrze i będzie znowu o nas cicho.

— Żeby on rychło wrócił — westchnął prezes.

— Ojciec wątpi. Może on wcale za interesami fabryki nie pojechał nawet.

— A jeżeli? — spytał prezes zgnębiony.

Brwi Kazi zbiegły się na sekundę.

— W takim razie nic nie pomoże, jeśli mnie z ojcem nawet będą widywać. Nie uratujemy opinii, gdy on o nią niedba.

— Kaziu, ty mówisz tak obojętnie, jakby to nie o ciebie chodziło.

— A czyż to o mnie chodzi? Cały świat wie, dzięki jego taktowi, że jestem żoną opuszczoną, zdradzoną, tolerowaną zaledwie. W niczem nie zmodyfikował swych kawalerskich zwyczajów. Robiłam, co mogłam, aby moje śmieszne i upokarzające położenie zamaskować, ale teraz nie widzę sposobu uratowania pozycyi, gdy on, jak przypuszczam, wyjechał za granicę z kochanką, i zresztą nie widzę, co już więcej ludzie mogą na nas pleść, jak dotychczas. Chciałabym tylko ukryć prawdę przed ojcem i myślę, że nawet lepiej, iż nas razem nie zobaczy.

— Ale ty nie wiesz wszystkiego, co tu się porobiło. Ta baba go rzuciła i wyjechała.

Ruszyła z lekka ramionami.

— A on za nią pogonił.

— Skąd wiesz?

— Domyślam się.

— Tak. Ten osioł myśli, że ją odzyska!

— Życzę tego z całego serca.

— Kaziu! To okropne, co mówisz. Więc ty nic, ani trochę nie dbasz o niego?

Zagryzła wargi, żeby nie rzec złego słowa i odpowiedziała po chwili.

— Życzę, żeby z tamtą wrócił, bo jeśli ją straci, będzie się mścił na mnie. A doprawdy — dla ojca i dla was, tatusiu, i dla siebie samej, by nie łamać mej przysięgi małżeńskiej, nie chciałabym, o za nic nie chciałabym go znienawidzić. A czuję, że gdy tamtą straci, już nie obojętną mu będę, ale nienawistną i on mnie również.

— A ja inną widzę przyszłość! On stamtąd wróci sam i uzdrowiony. Przejrzy, opamięta się, wyzwoli z pod opętania tej baby — i...

Prezes, upojony nadzieją, spojrzał na nią z uśmiechem, ale twarz młodej kobiety miała taki wyraz zgrozy i chłodu, że się przeraził.

— Kaziu, zlituj się, ty mu przecie wybaczysz, darujesz, będziesz dobrą dla niego. Ty tego nie uczynisz!

— Czego? — Odepchnąć męża, który raczy być łaskawym dla mnie. Cóż znowu! Alboż żonie to nawet wolno? Dajmy pokój tej kwestyi, tatku. Niema o czem mówić. Będzie, jak on zechce!

Dojrzała troskę na jego twarzy, opamiętała się, przytuliła serdecznie do jego ramienia i rzekła głosem, pełnym łez:

— Tatusiu — proszę mieć dla mnie względy. Jestem strasznie zmęczona i zdenerwowana. Tydzień byłam nad konającą, tydzień z chorą macochą, straciłam moc i panowanie nad sobą. Muszę trochę wypocząć i opamiętać się. Doprawdy, jak się widzi chorobę i śmierć, nabiera się do życia pogardy i lekceważenia. Niech się tatuś nie troska i we mnie nie wątpi.

Ale prezes nie mógł odzyskać otuchy i dobrej nadziei, opadły go gromadą zgryzoty i troski.

Chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— A ten Kołocki z tym obrazem?

— O tem nic nie wiem. Co za obraz?

— Radlicza, na którym ty jesteś sportretowaną podobno. Muszę raz pójść na wystawę i zobaczyć czy to prawda. Kołocki daje Radliczowi trzy tysiące, a ten sprzedać nie chce.

— Niech mu da pięć, ale co nam do tego targu?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Mam go ciągle; dziś nie opłaciłbym go milionami, Genowefo, dziś on znaczy tyle, co życie, tyle co szczęście!

— O! Boże mój, Boże! bądź błogosławiony! — zawołała młoda kobieta.

— Jak ci wiadomo, mam ziemską posiadłość, którą rządzi stary sługa mojej rodziny, prawdziwy syn Francyi i prawy człowiek, któremu zaufać możemy. Dochody z tej posiadłości będzie mi przesyłał dokąd tylko zechcę. Udając się do Boulogne wstąpimy do niego.

— Gdzież on mieszka?

— W okolicy Abeville.

— A kiedyż wyjedziemy, mój Maurycy?

— Za godzinę.

— Nikt więc nie ma wiedzieć, że wyjeżdżamy.

— Nikt też wiedzieć nie będzie. Biegnę do Lorina; on ma kabryolet a ja konia; pojedziemy natychmiast, skoro powrócę. Ty, Genowefo, zostań tu i przygotuj na drogę co potrzebniejszego. Nie wiele rzeczy brać z sobą potrzebujemy, bo to czego nam braknie, zakupimy w Anglii. Wyszlę Scewolę, aby oddalić go z domu. Lorin wytłómaczy mu dziś wieczór powód naszego wyjazdu, a my tymczasem będziemy już daleko.

— Ale jeżeli nas w drodze zatrzymają?

— Alboż nie mamy paszportu? pojedziemy do Huberta, tak się nazywa mój intendent. Jest on człowiekiem municypalności w Abeville; pod jego strażą i w jego towarzystwie wyruszymy ztamtąd do Boulogne; tam kupimy sobie albo najmiemy barkę. Wreszcie mogę pójść do komitetu, wyrobić sobie komisyoryum de Abeville. Ale nie Genowefo, nie uciekajmy się do podstępów, a raczej kosztem naszego życia osiągniemy nasze szczęście.

— Tak, tak, mój przyjacielu, a pewno je osiągniemy. Ale jakżeś się dziś wyperfumował, mój przyjacielu! — rzekła młoda kobieta, tuląc swą twarz do piersi Maurycego.

—Prawda, przechodząc koło pałacu Równości kupiłem ci bukiet fiołków, ale kiedym tu wszed i zastał cię tak smutną, pamiętałem tylko o tem aby cię zapytać o przyczynę tego smutku.

— O! dajże mi go, daj, ja ci oddam.

Genowefa napawała się wonią tego bukietu z pewnym rodzajem fantastycznego upodobania w zapachu, jakiemu ulegają nerwiste istoty. Po chwili oczy jej zaszły łzami.

— Co ci to? — spytał Maurycy.

— Biedna Heloiza — szepnęła Genowefa.

— Ah! prawda — wzdychając odpowiedział Maurycy. — Ale myślmy o sobie, kochana przyjaciółko, dajmy pokój umarłym, do jakiegokolwiek stronnictwa należeli, niech teraz spią swobodni w grobie, który im zbudowało poświęcenie. Żegnam cię! odchodzę.

— Powracajże jak najśpieszniej.

— Będę tu prędzej jak za pół godziny.

— A jeżeli Lorina nie zastaniesz w domu?

— Mniejsza o to! jego służący zna mię; a przytem czy go zastanę w domu czy nie, przecież mi wolno brać u niego co mi się podoba, i nawzajem jemu to samo wolno uczynić u mnie.

— Dobrze, dobrze.

— Ty zaś, moja Genowefo, przygotuj wszystko, ale ogranicz się i zabierz to tylko co najpotrzebniejsze; wyjazd nasz nie powinien mieć pozoru przenosin.

— Bądź spokojny.

Młodzieniec szedł ku drzwiom.

— Maurycy! — zawołała Genowefa.

Powrócił i ujrzał że młoda kobieta wyciąga ku niemu ręce.

— Do widzenia! moja luba, do widzenia! — rzekł — nabierz odwagi! za pół godziny znowu będę przy tobie.

Jak powiedzieliśmy, Genowefa pozostawszy sama, zajęła się przygotowaniami do podróży. Czyniła to z jakiemś gorączkowem drżeniem. Dopóki pozostawała w Paryżu ciągle mniemała, że jest podwójnie winną. Sądziła, że skoro opuści Francyą, skoro się ujrzy za jej granicą, występek który nie jej samej, ale raczej nieszczęsnemu zrządzeniu przypisywać należało, nie tyle ciężkim będzie. A uwiedziona nadzieją przypuszczała nawet, że w ustroniu i samotności zapomni, że oprócz Maurycego inni jeszcze ludzie istnieją.

Według umowy schronić się mieli do Anglii. Tam postanowili nabyć domek, małą zagrodę, samotną, odosobnioną, usuniętą z przed oczu wszystkich; mieli zmienić i zespolić swoje nazwiska. Tam postanowili przyjąć dwoje służących, którzyby zupełnie nie znali ich przeszłości, a traf sprawiał, że oboje mówili płynnie po angielsku. Żadne z nich nie pozostawiało we Francyi przedmiotu godnego żalu, chyba tę matkę, której każdy żałuje, chociażby nawet była macochą. Genowefa więc zaczęła wybierać przedmioty niezbędne w ich podróży, a raczej w ich ucieczce. Jak niewypowiedzianej rozkoszy doznawała od dzielając pomiędzy innemi te, które Maurycy najlepiej lubił; suknię, która mu najpiękniej do figury przystawała, chustkę do szyi, która najlepiej odbijała przy jego cerze, książki, które najczęściej czytywał. Już prawie wszystko ukończyła; już suknie, bielizna, książki, czekając na walizę, która je w sobie zamknąć miała, leżały rozrzucone na krzesłach, kanapach, fortepianie; w tem klucz w zamku zaskrzypiał.

— Otóż i Scewola wraca. Widać, że go Maurycy nie spotkał!

I dalej zajmowała się swą pracą.

Drzwi od salonu stały otworem, słyszała jak oficyalista chodził po przedpokoju, zawinąwszy więc jakieś nuty i szukając miejsca na ich schowanie.

— Scewola! — zawołała.

W przyległym pokoju dał się słyszeć odgłos zbliżających się kroków.

— Scewola! — powtórzyła Genowefa — pójdź no tu, proszę cię.

— Oto jestem! — rzekł jakiś głos.

Na dźwięk tego głosu Genowefa nagle się odwróciła i wydała krzyk okropny.

— Mój mąż! — zawołała.

— On sam — spokojnie rzekł Dixmer.

Genowefa siedziała na krześle i szukała czegoś w szafie; na widok męża uczuła nagły zawrot głowy, opuściła ręce i padła jak długa, sądząc, że się pod nią otworzy przepaść i że ją pochłonie.

Dixmer podtrzymał ją, przeniósł na kanapę i posadził.

— I cóż to moja kochana? — spytał — czy obecność moja tak przykre sprawia na tobie wrażenie?

— Umieram — wyjąkła Genowefa w tył padając i oburącz zakrywając oczy, aby nie widzieć tak strasznego zjawiska.

— Cóż, moja kochana — rzekł znowu Dixmer — czy mię miałaś za umarłego, czyż sądzisz że jestem upiorem?

Genowefa błędnem okiem powiodła około siebie, a postrzegłszy portret Maurycego, zsunęła się z kanapy i padła na kolana, wzywając niby pomocy tego bezwładnego i nieczułego obrazu, co się do niej uśmiechać nie przestawał. Biedna kobieta pojmowała, ile groźby ukrywał Dixmer pod maską łagodności.

— Tak, moje kochane dziecię — mówił dalej majster garbarz — ja to jestem; sądziłaś może, żem gdzieś daleko za Paryżem; a tymczasem jam się z niego ani nie ruszył. Nazajutrz po wyjściu z domu wróciłem i na jego miejscu ujrzałem jak najpiękniejszą kupę popiołu. Wypytywałem ludzi o ciebie, nikt cię nie widział. Począłem cię więc szukać i z niemałym trudem znalazłem. Przyznam, żem nie spodziewał się, zastać cię tutaj, a jednak wpadłem na tę myśl, bo jak widzisz, przyszedłem tu. — Ale najgłówniejsza, żeśmy oboje żywi. Jakże się ma kochany Maurycy? Wierz mi, że czuję ile cierpieć musiałaś, ty tak dobra rojalistka, że ci wypadło żyć pod jednym dachem z tak zajadłym republikaninem.

— O Boże! Boże! zlituj się nademną! — pomruknęła Genowefa.

— Ale koniec końcem — mówił znowu Dixmer w koło się oglądając — pociesza mnie to, żeś tu bardzo dobre miała pomieszkanie, i jak się zdaje proskrypcya nie wielkie na tobie zrobiła wrażenie. — Ja, od chwili jak zgorzał mój dom, jak znikł nasz majątek, błąkałem się na los szczęścia, mieszkałem w głębi piwnic, na dnie rybackich łodzi, a nieraz nawet w otworach kanałów, wpadających do Sekwany.

— Panie! — jękła Genowefa.

— Ty masz tu piękne owoce; ja nieraz musiałem się obejść bez desseru, a nawet i bez obiadu.

Genowefa łkając w obu dłoniach ukryła swą głowę.

— Nie dla tego abym nie miał pieniędzy, bo dzięki Bogu, uniosłem ze sobą około trzydziestu

tysięcy franków w złocie, co dziś stanie za pięć kroć sto tysięcy, ale jakimże sposobem węglarz, rybak lub gałganiarz złotem płacić może za ser lub kiełbaskę? Tak to, moja pani, Bóg świadkiem, żem kolejno takiego używał przebrania! — Dziś, aby mnie nie poznano, wyglądam jak patryota, jak zagorzały, jak Marsylczyk. Szeplenię i klnę. Do licha! wyjęty z pod prawa, nie tak łatwo przechadzać się może po ulicach Paryża, jak młoda i piękna kobieta, a los nie pozwolił mi poznać żadnej gorliwej republikanki, którąby mnie mogła ukryć przed wzrokiem ogółu.

— Panie, panie — zawołała Genowefa — miejże litość nademną! widzisz przecież, że umieram.

— Z niespokojności, rozumiem, bardzoś była o mnie niespokojna; ale pociesz się, oto jestem: wracam i już cię nie opuszczę, moja pani.

— O! ty mnie zabijesz! — zawołała Genowefa.

Dixmer z przerażającym uśmiechem spojrzał na nią.

— Miałbym zabić niewinną kobietę! o! co też pani mówisz? Chyba ze smutku i żalu za mną straciłaś rozum.

— Panie — zawołała Genowefa — panie, z załamanemi rękami błagam cię, zabij mnie raczej, a nie dręcz tak okropnemi szyderstwy. Nie, ja wiem, żem zawiniła; wiem, żem występna; wiem, że na śmierć zasługuję. Zabij mnie więc panie, zabij!

— Wyznajesz zatem, żeś na śmierć zasłużyła?

— Tak jest, tak.

— I że dla złagodzenia nie wiem jakiego występku, o który się obwiniasz, bez szemrania śmierci się poddasz?

— Uderz, panie, a nie wydam najmniejszego krzyku, a zamiast złorzeczyć ręce, która mię zabije, owszem błogosławić ją będę.

— Nie, pani, ja cię nie zabiję; być może jednak iż umrzesz. Ale śmierć twoja, zamiast być sromotną, czego się zapewne obawiasz, będzie owszem zaszczytną i prawie męczeńską. Podziękuj mi więc pani, bo karząc cię unieśmiertelnię twoje imię.

— Cóż więc uczynisz ze mną panie?

— Znowu iść będziesz do celu, do którego dążyliśmy, kiedy nam drogę naszą przecięto. W mojem i twojem przekonaniu umrzesz jako winna; w przekonaniu drugich jako męczennica.

— O! Boże! chcesz-że aby mię słowa twoje w szaleństwo wprawiły. Dokądże mię prowadzisz? dokąd pociągasz?

— Zdaje się, że cię prowadzę na śmierć.

— Dozwól zatem niech się pomodlę.

— Do kogo?

— Cóż ci do tego! Od chwili jak mnie zabić pragniesz, dług mój wypłaciłam, a tem samem nic ci nie jestem winna.

— Prawda — rzekł Dixmer odchodząc do drugiego pokoju — czekam cię.

I wyszedł do salonu.

Genowefa ściskając oburącz swe pękające serce, klękła przed portretem.

— Przebacz mi Maurycy — rzekła z cicha — nie miałam nadziei być szczęśliwą, alem sądziła że ciebie szczęśliwym uczynię. Maurycy, wydzieram ci szczęście co było twem życiem; przebacz mi twą śmierć mój ukochany.

To mówiąc ucięła pukiel długich włosów, obwinęła nim bukiet fiołków i zatknęła u spodu portretu, a to nieczułe płótno zdawało się przybierać niby wyraz boleści widząc, że się Genowefa oddala. Takie przynajmniej, mimo swych łez, ona sama miała widzenie.

— I cóż! czyś pani gotowa? — zapytał się Dixmer.

— Już! — szepnęła Genowefa.

— O! nie spiesz się pani — odparł Dixmer — mnie nie pilno! Wreszcie, Maurycy zapewne powróci, a miłoby mi było podziękować mu za gościnność, jakiej ci dawał dowody.

Genowefa struchlała na myśl, że jej kochanek i mąż spotkać się mogą. Wstała, niby jaką sprężyną poruszona.

— Skończyłam — rzekła — i jestem gotowa!

Dixmer wyszedł naprzód. Drżąca Genowefa postępowała za nim, prawie zamknęła oczy i głowę w tył zwiesiła; wsiedli do fiakra, który czekał przy drzwiach i odjechali.

— Dobrze — powiedziała Genowefa — że skończyło się!

Ciąg dalszy nastąpi).

Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

(Ciąg dalszy).

Zapalona latarka stała jeszcze na stole, a przy jej blasku spostrzegłem, iż głowa Huberta zwisła zupełnie na dół, przestał oddychać, już nie żył. Ruch ku puharowi z winem był jego ostatnim.

W domu słychać było tylko uderzenia zegara, zresztą panowała zupełna cisza. Na ścianie wisiała wyprężona postać Francuza, na ziemi leżało bez ruchu ciało Hiszpana, a obydwóch oświecał blask latarni.

Po raz pierwszy w życiu drgnąłem ze strachu. Widziałem dziesięć tysięcy ludzi zeszpeconych we wszelkie możliwe sposoby, ale ich widok nie uczynił na mnie takiego wrażenia, jak te dwie blade postacie, jedyni moi towarzysze w tem ponurem mieszkaniu.

Wypadłem na ulicę, jak ów drugi Hiszpan, myśląc tylko o tem, aby się wydostać z tego domu, i dopiero przy katedrze zapanowałem nad sobą. Zatrzymałem się i ukryłem w cieniu. Podparłem się w bok i zacząłem się zastanawiać, co mi dalej czynić należy

Wtem zegar uderzył dwa razy. Była więc godzina druga. O czwartej miała być kolumna gotowa do szturmu. Pozostawały mi jeszcze dwie godziny czasu do działania.

Katedra była wewnątrz jasno oświetlona, a wchodzili do niej i wychodzili różni ludzie.

Przekonany, iż wewnątrz nikt mnie nie zaczepi, wszedłem i ja, aby w spokoju obmyślec sobie dokładnie plan dalszego postępowania.

Katedra przedstawiała szczególny widok: zmieniona była w szpital, przytułek i magazyn prowiantowy. Jedno boczne skrzydło zawierało zapasy żywności, w drugiem leżeli chorzy i ranni, w środku zaś mnóstwo ludzi rozgościło się, jak w domu, a nawet na kamiennej mozaikowej posadzce porozpalało ognie.

Wielu się modliło, klęknąłem i ja w cieniu wielkiej kolumny i modliłem się gorąco, abym się szczęśliwie wydostał z tego położenia i uczynił moje imię tak sławnem w Hiszpanii, jakiem było już w Niemczech.

Zaczekałem do trzeciej, a potem wyszedłem z katedry i zwróciłem się w kierunku klasztoru Madonny, gdzie miał się rozpocząć atak.

Możecie sobie wyobrazić, panowie, którzy mnie dokładnie znacie, że nie byłem tym człowiekiem, któryby powrócił do obozu z małostkowem doniesieniem, iż nasz agent został zamordowany i że należy szukać innych dróg i środków do zdobycia miasta. Albo spełnię to nieskończone zadanie w jakiś sposób, albo też stanowisko rotmistrza pierwszej klasy przy huzarach Conflansa będzie wolne.

Przeszedłem bez przeszkody przez szeroką ulicę, którą opisałem przedtem, aż dotarłem do kamiennego klasztoru, który stanowił zewnętrzną linię obronną nieprzyjaciela. Był zbudowany w wielkim czworoboku, a w środku znajdował się ogród.

W ogrodzie tym zebrało się kilkuset uzbrojonych ludzi, ponieważ naturalnie wiadomem było, iż Francuzi przypuszczą szturm najpierw do tego punktu.

Dotychczas w całej Europie mieliśmy do walczenia z armią regularną. Dopiero tu w Hiszpanii mieliśmy się dowiedzieć, jak to strasznem jest walczyć przeciw całej ludności.

Z jednej strony nie można zdobyć wielkiej sławy, gdyż co to znaczy rozbić w puch i pokonać cały tłum starych handlarzy, głupich chłopów, sfanatyzowanych popów, rozwścieczonych kobiet i tym podobnych nędznych kreatur. Z drugiej strony ciągłe niepokojenie i niebezpieczeństwa są wielkie, gdyż ludzie ci nie dają człowiekowi spokoju, nie zważają na reguły wojenne i czynią najrozpaczliwsze wysiłki, aby szkodzić w najprzeróżniejszy sposób.

Miałem świadomość tego, jak wstrętnem jest zadaniem prowadzić wojnę z taką pstrą i zajadłą

hołotą, która stała w ogrodzie klasztoru dokoła ogni. My żołnierze nie troszczymy się wcale o polityczne rozważania, ale na tej wojnie w Hiszpanii zdawało się już od samego początku cię żyć jakieś przekleństwo

W owej chwili jednak nie miałem czasu zastanawiać się nad takiemi rzeczami.

Jak już zauważyłem poprzednio, nie było trudnem dostać się do ogrodu, ale dostać się do klasztoru było bardzo trudno.

Zacząłem się z początku przechadzać po ogrodzie i spostrzegłem wkrótce wielkie pomalowane okno, które z pewnością musiało należeć do kaplicy. Wiedziałem od Huberta, iż cela przeoryszy, w której znajdował się proch, była blisko kaplicy i że lont przez otwór w ścianie przeciągnięty był do celi sąsiedniej. W każdym razie musiałem się dostać do klasztoru.

U wejścia stała warta. Jakże przejdę obok niej, aby mnie nie zatrzymała? Nagle rozjaśniło mi się w głowie, jak sobie począć należy.

W ogrodzie znajdowała się studnia, a obok niej stało kilka próżnych wiader. Człowieka, który w każdej ręce trzyma wiadro wody, nie pytają, czego chce. Wartownik otworzył drzwi i przepuścił mnie.

Znalazłem się w długim korytarzu z kamienną posadzką, a tliły się w nim latarnie; po jednej stronie znajdowały się cele mniszek. Nareszcie więc byłem blisko celu.

Udałem się bez namysłu dalej, gdyż z ogrodu przypatrzyłem się doskonale, którą drogą iść mi wypada.

Mnóstwo żołnierzy hiszpańskich leżało z fajkami w zębach w tym korytarzu, a niektórzy nawet zagadywali do mnie. Przypuszczałem, iż proszą mnie o błogosławieństwo, a moje ora pro nobis zdawało się wystarczać im zupełnie.

Wkrótce doszedłem do kaplicy, a można było łatwo spostrzedz, iż izba obok służyła do przechowywania prochu, gdyż posadzka dokoła była aż czarna od niego.

Drzwi były zamknięte, a dwóch tęgich drabów trzymało przed nimi wartę. Jednemu z nich zwisał u pasa klucz. Gdyby był sam, byłby klucz zaraz się znalazł w moich rękach, ale wobec drugiego draba nie było widoku dostania go przemocą w moje ręce.

Najbliższa cela za prochownią musiała należeć do siostry Angeliki. Drzwi były na poły otwarte.

Wziąłem na odwagę, postawiłem wiadra z wodą na korytarzu i wszedłem do środka, nie zatrzymywany przez nikogo.

Sądziłem, iż znajdę się wobec kilkunastu odważnych ludzi, ale to, co moje oczy w tej chwili ujrzały, wprawiło mnie w jeszcze większy kłopot. Celę tę miały widocznie mniszki opuścić, ale z jakichś powodów tego uczynić nie chciały.

Było ich tam trzy. Jakaś starsza kobieta o surowej twarzy, prawdopodobnie przeorysza; dwie inne były bardzo młode i przystojne. Wszystkie siedziały w rogu pokoju, ale powstały, gdy wszedłem. Ku mojemu zdumieniu spostrzegłem, iż moje przybycie było oczekiwanem z przyjemnością.

Natychmiast zapanowałem nad sobą i rozejrzałem się w położeniu. Ponieważ można się było spodziewać napadu na klasztor, przeto siostry sądziły, iż przeprowadzę je w jakieś bezpieczne miejsce. Prawdopodobnie złożyły ślubowanie, iż nigdy tych murów nie opuszczą, a powiedziano im, aby się schowały w tej celi, dopóki nie nadejdą jakieś inne polecenia.

W każdym razie zastosowałem moje postępowanie do tego przypuszczenia, musiałem je bezwarunkowo nakłonić do opuszczenia tej celi i miałem doskonały do tego powód.

Spojrzałem na drzwi i spostrzegłem, że klucz tkwił z wewnątrz. Dałem mniszkom znak, aby się udały za mną

Przeorysza przemówiła coś do mnie, ale wstrząsnąłem niecierpliwie głową i skinąłem znowu na nią. Gdy się wahała, tupnąłem nogą i w ten rozkazujący sposób wezwałem je, aby się natychmiast udały za mną. Ponieważ kaplica była względnie bezpiecznem schronieniem, przeto zaprowadziłem je tam i kazałem im zająć miejsca po stronie najwięcej oddalonej od magazynu prochu.

Gdy wszystkie trzy mniszki klękły przy ołtarzu, serce zabiło mi z radości i z dumy, czułem bowiem, że z drogi mej usunąłem najważniejszą przeszkodę.

A teraz, panowie, ileż razy musiałem w mem życiu zrobić to doświadczenie, że to jest właśnie najniebezpieczniejsza chwila.

Rzuciłem jeszcze raz wzrokiem na przeoryszę i ku mojemu wielkiemu przerażeniu spostrzegłem, iż oczy jej utkwiły z wyrazem zdziwienia i podejrzenia na mej prawej ręce. A były to oczy czarne, przeszywające, przenikliwe, które zdawały się widzieć wszystko.

Na tej ręce mogły dwie rzeczy zwrócić jej uwagę. Po pierwsze była jeszcze zakrwawiona z powodu wciśnięcia w serce sztyletu owemu wartownikowi na drzewie. To jedno nie mogło

jej wprawić w zdumienie, gdyż nóż i sztylet u księży w Saragossie był tak samo dobrze w użyciu, jak brewiarz.

Ale na palcu wskazującym miałem sygnet złoty — podarunek jakiejś niemieckiej baronównej, której nazwiska nie chcę wymienić. Błyszczał się przy świetle świec ołtarzowych. Pierścień na palcu mnicha jest niemożliwem zjawiskiem, gdyż przysięga on na bezwzględne ubóstwo.

Odwróciłem się szybko i wyszedłem z kaplicy, ale nieszczęście już było gotowe.

Gdy się obejrzałem, spostrzegłem, że przeorysza dąży tuż za mną.

Przebiegłem wzdłuż kurytarza, a ona tymczasem ostrzegała głośno wartowników przy prochowni.

Na szczęście miałem na tyle przytomności, iż uczyniłem to samo i wskazywałem przed siebie, jakobyśmy oboje gonili jedną i tę samą osobę. W jednej chwili przeleciałem obok nich, wskoczyłem do celi, zatrzasnąłem ciężkie drzwi i zamknąłem je za sobą na klucz.

Posiadały one na górze i na dole tęgie zasuwy, tak, iż stanowiły poważną zaporę, która niejedno wytrzymać mogła, a może już wytrzymała.

Gdyby byli na tyle sprytni, aby pod drzwi podsadzić beczkę z prochem, byłbym stracony. Było to moim jedynym ratunkiem, gdyż teraz znajdowałem się u celu.

Znalazłem się nareszcie tutaj po tylu przebytych niebezpieczeństwach, któremi tylko nie wielu mężczyzn pochwalić się może. Starałem się pochwycić ręką lont, którego drugi koniec sięgał do magazynu prochu.

Na kurytarzu ryczeli wszyscy, jak lwy i kolbami muszkietów walili we drzwi.

Nie zważałem na ich hałas i krzyki, lecz szukałem usilnie owego lontu, o którym mówił Hubert. Bezwarunkowo musiał znajdować się przy ścianie, prowadzącej do magazynu. Czołgałem się na brzuchu, rękach i nogach, ale nie mogłem znaleźć ani śladu. Dwie kule przeszyły mur i spłaszczyły się na ścianie.

Hałas wzmagał się ciągle.

Spostrzegłem w kącie jakąś szarą kupkę, skoczyłem do niej z krzykiem radości, a przekonałem się, iż był to tylko zmieciony kurz.

Pobiegłem w stronę drzwi, gdzie mnie żadna kula trafić nie mogła, — a latały po celi, jak muchy — i nie troszczyłem się wcale o huk strzałów, lecz starałem się wynaleźć, gdzie ten przeklęty lont się kryje.

Aby go te mniszki nie odkryły, musiał go Hubert ukryć starannie.

Wzrok mój padł na statuę św. Józefa, stojącą w rogu. U stóp piedestału znajdował się wieniec z jakichś liści, wśród których paliła się lampka. Rzuciłem się na to i odsunąłem liście.

Tak jest, tu znajdował się mały, czarny sznurek, prowadzący dalej przez mały otwór w ścianie.

Przyłożyłem do niego światło i położyłem się.

W chwilę potem rozległ się straszliwy huk. Mury zaczęły drżeć i chwiać się dokoła mnie, sufit nademną pękł, a z krzykiem przerażonych żołnierzy hiszpańskich zmieszał się okrzyk tryumfu naszych szturmujących grenadyerów. Słyszałem to, jak we śnie — w bardzo pięknym śnie, a potem nie słyszałem już nic więcej...

Gdy przyszedłem znowu do przytomności, trzymało mnie pod ramiona dwóch żołnierzy francuskich, a we łbie huczało mi, jak we młynie. Zerwałem się i spojrzałem dokoła siebie.

Tynk z sufitu zleciał, połamane sprzęty leżały dokoła, ale dziury nie było żadnej. Mury starego klasztoru były istotnie tak silne, iż prócz kilku nieznacznych szpar, nie wyrządził im żadnej poważnej szkody ten wybuch magazynu prochowego.

Mimo tego wybuch ten wywołał wśród obrońców taki popłoch, że atakujący mogli się dostać przez okna i otworzyć bramy prawie bez oporu.

Gdy wybiegłem do sieni, znalazłem ją przepełnioną żołnierzami francuskimi, a natknąłem się właśnie na marszałka Lannes, gdy wchodził ze swoim sztabem.

Stanął i zaczął się uważnie przysłuchiwać memu opowiadaniu.

— Wspaniale, rotmistrzu, wspaniale! — zawołał. — O takim czynie należy natychmiast zawiadomić cesarza.

— Chciałbym dodać, ekscelencyo — zauważyłem — iż doprowadziłem tylko rozpoczęte dzieło do końca. Obmyślił je i przygotował Hubert, a przypłacił to życiem.

— Nie zapomnimy o jego usługach — odparł marszałek. — Zresztą minęło już wpół do piątej, a pan, panie rotmistrzu, musisz być po tylu przygodach bardzo głodny. Ja i mój sztab jemy śniadanie w mieście. Zapewniam pana, iż będzie pan dla nas bardzo mile widzianym gościem.

— Z wdzięcznością przyjmuję zaproszenie, ekscelencyo — odpowiedziałem. — Ale mam jeszcze przedtem do załatwienia małe spotkanie, które mnie od tego powstrzymuje.

Wyłupił na mnie oczy.

— O tej godzinie?

— Tak jest, panie generale — odparłem. — Moi towarzysze broni, których wczoraj miałem przyjemność poznać, wzięliby mi za złe, gdybym się wpierw z nimi nie widział.

— W takim razie do widzenia — rzekł marszałek i poszedł dalej.

Wybiegłem przez bardzo uszkodzoną bramę klasztorną.

Gdy przybyłem do mej izby bez dachu, w której przebrano mnie za mnicha, zrzuciłem habit, wsadziłem na głowę czako i opasałem się szablą, którą tam pozostawiłem.

Zostawszy szczęśliwie z powrotem huzarem, udałem się w oznaczone miejsce. Z wzburzenia kręciło mi się jeszcze wszystko w głowie, byłem niesłychanie zmęczony po tylu przygodach ubiegłej nocy.

Cała ta wędrówka o szarym świcie, palące się ognie w obozie, ich gryzący dym i szmer budzącego się ze snu żołnierza wydawały mi się niby snem.

Wśród huku trąb i warczenia bębnów zbiera się piechota, gdyż wybuch i okrzyki wojenne dały im znać, co się stało.

Maszerowałem spokojnie dalej, aż wreszcie dotarłem do małego lasku drzew korkowych, znajdującego się poza stajniami kawaleryi.

Tam dostrzegłem moich towarzyszów broni w jednej grupie, a każdy miał przy lewym boku pałasz. Spojrzeli na mnie zdziwieni, gdy się do nich zbliżyłem. Być może iż z tą poczernioną prochem twarzą i zakrwawionemi rękami wydałem się im innym Gerardem, nie tym młodzieńczym rotmistrzem z którego poprzedniego wieczora tak się naśmiewali.

— Dzień dobry panom! — zawołałem. — Niesłychanie mi przykro, iż musieliście panowie czekać na mnie, ale nie mogłem rozporządzać moim czasem.

Nie odpowiedzieli nic, ale spojrzeli na mnie badawczo. Widzę ich jeszcze dzisiaj przed sobą, stojących w szeregu, wielcy i mali, grubi i chudzi. Olivier z swym potężnym wąsem, wąskie, żywe oblicze Pelletana, młodego Oudina, ożywionego radością, iż pierwszy raz w życiu będzie miał pojedynek, Mortiera z przeciętem pałaszem czołem. Odłożyłem na bok czako i wyciągnąłem pałasz.

— Panowie — rzekłem — wybaczcie, ale marszałek Lannes zaprosił mnie na śniadanie, a nie mogę pozwolić na to, aby czekał na mnie.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał major.

— Proszę mnie uwolnić z mego przyrzeczenia, iż każdemu z panów poświęcę pięć minut czasu i pozwolić na to, abym was wszystkich razem zaatakował.

Czekałem, co na to odpowiedzą.

Ich odpowiedź była prawdziwie piękna i prawdziwie francuska. W jednej chwili dwanaście pałaszów wyleciało z pochew i prezentowało przedemną.

Stali przedemną wszyscy, nieruchomi, obcas przy obcasie, a każdy trzymał przed sobą pałasz, jak świecę.

Cofnąłem się na krok. Spojrzałem po wszystkich, a każdemu śmiało w oczy. Tym oczom przez chwilę nawet wierzyć nie mogłem. Ci sami ludzie, którzy przed kilku godzinami drwili sobie ze mnie, ci sami ludzie składali mi teraz hołd!

Wyjaśniło się dla mnie wszystko.

Poznałem, że im zaimponowałem, a oni chcieli zatrzeć plamę, którą sobie sami ubiegłego wieczora zrobili. Wobec niebezpieczeństwa człowiek może zachować stalowe nerwy, ale nigdy wobec wzruszenia.

— Towarzysze! — zawołałem — towarzysze!

Dalej nie mogłem już mówić ani słowa.

Olivier chwycił mnie w pół, Pelletan chwycił mnie za prawą rękę, Mortier za lewą, inni czepili się moich plec... ze wszystkich stron uśmiechały się do mnie radością tchnące twarze...

Taki był mój pierwszy występ w huzarach Conflansa...

DZIAŁ KOBIECY.

Jak zużytkować

niepotrzebną odzież, czasopisma i wogóle rupiecie.

Niema domu, w którymby się nie nagromadziło w ciągu roku mnóstwo rupieci, na nic nam już nieprzydatnych, a niepotrzebnie zabierających miejsce, którego nigdy nie za wiele w szczupłych mieszkaniach miejskich.

Nie wiedząc, co z niemi czynić, bo ani ich darowywać, ani sprzedawać nie warto, najczęściej każemy je wyrzucać na śmietnik. Stamtąd zaś, w odpowiednie przeszedłszy ręce, ulegają różnym przemianom: czasami nawet wyreparowane, odczyszczone idą na sprzedaż i za bardzo nizką cenę nabyte przez ubogą ludność, nie służą jej tyle nawet czasu, aby się zwrócił wydatek, poniesiony na ich nabycie. Wychodzi na to, że ci, którym o grosz najtrudniej, najwięcej są na utratę jego narażeni.

Aby temu zapobiedz, powstały w miastach amerykańskich towarzystwa, zapobiegające handlowi wszelką starzyzną (Society for the banishing of dilapidated households).

Skupuje są i pozbywa się jej w sposób odpowiedni, przez co nie dopuszcza handlowania tandetą, szerzenia zarazków, a z niemi razem i elegancyi złego smaku.

Cóż więc zrobić z niepotrzebną, na przykład, odzieżą? Od sprzedawania jej powstrzymuje nas nie tyle myśl o zarazkach, złym smaku itd., ile wstyd fałszywy; nie każdą rzecz darować można służącej, nie każda da się na nasz użytek przerobić. Darowywanie zaś kobietom ubogim rzeczy niegdyś pięknej, dziś podszarzanej, lub gałganka, któremu całą wartość nadawał kaprys mody, — ma w sobie coś dla obdarowywanych upokarzającego — coś, co przeczy istocie miłosierdzia.

W Anglii, a właściwie w Danii, skąd zwyczaj ten przeniosła do przybranej ojczyzny królowa Aleksandra, możemy znaleźć odpowiedź na to pytanie.

W duńskim domu królewskim panował obyczaj patryarchalny: tryb życia skromny był i pracowity, a liczna gromada dzieci chowana w karności i prostocie.

Gdy nadchodziła jesień, dostojna matka rodziny zabierała się do przeglądania garderoby, tak swojej, jak i dzieci. Zapewne z starszych nie przerabiana na młodsze, bo czasopismo angielskie, z którego wiadomość tę zaczerpnęłam, opowiada, iż rzeczy wybrakowane oddawano służebnym do prucia.

Sprute, wyczyszczone, uprane wracały do rąk właścicielek i królewskie dziewczątka, zbrojne w nożyczki, z ołówkiem i miarą w ręku, brały się do roboty pod kierunkiem fachowej mistrzyni. Sukienki przerobione gustownie, choć z prostotą, czyściutkie i świeże, szły w postaci podarków świątecznych do szkółek i ochron, znajdujących się pod protektoratem pań z rodziny królewskiej. Były zaś nie tylko podarkiem użytecznym, lecz razem miłą pamiątką, bo każda z panienek wsuwała do kieszeni ubrania karteczkę ze swojem imieniem, pod którem dodawała wyrazy: „poleca się przyjaznej pamięci...“ — „prosi o życzliwość...“ — „pozdrawia nieznajomą rówieśniczkę...“ — „życzy pomyślności całej rodzinie...“

Dzisiejsza królowa-wdowa angielska celowała pomysłami tego rodzaju niespodzianek. Zasobniejsza w grosz, czy może mniej czyniąca wydatków, kupowała srebrną lub złotą kanwę papierową i barwnemi jedwabiami haftowała na niej swoje imię wraz z „posłaniem“. Przypuszczam, że w niejednej chacie duńskiej przechowują je do dziś dziś dnia jako miłą pamiątkę i sądzę, że za przykładem królewien duńskich pójśćby mogły nasze dziewczątka...

O czasopismach niepotrzebnych mówić już chyba zbytecznie, że komplety ich pożądane są w szpitalach. Zdekompletowane, jeżeli się w nich znajdują ilustracye, dostarczają na zimowe wieczory miłego zajęcia dzieciom, które sobie z nich ułożą *„scrap-book“* (książkę wycinków), najpopularniejszą zabawkę w Anglii, gdzie każde niemal dziecko posiada taką książkę. Naklejając wycinki w zeszycie można je dobierać odpowiednio: podobizny znakomitości, widoki, reprodukcye dzieł sztuki, rośliny, zwierzęta i t. p.

Przepalone garnki żelazne, brytfanny, rondle, czy te emaliowane, czy z blachy angielskiej, zawsze znajdą nabywców — nie w handlarzach podwórzowych, lecz w agentach fabryki wyrobów metalowych. Szmaty tkanin, zniszczone kapelusze słomiane nabywa — zawsze za pośrednictwem agenta — fabryka papieru; znoszone obuwie (jeżeli już nawet szewc-latacz nie dopomoże nam do

obucia w nie jakiejś biedy) nabywają fabryki kleju.

Agenci, których wyszukanie nie jest rzeczą tak trudną, niechętnie kupują towar małemi ilościami. Lecz i na to jest rada: kilka, kilkanaście domów znajomych stanowić może dla agenta taką jednostkę dostawczą, z którą raz związane stosunki trwać już mogą stale.

Przedmioty z drzewa, niezdatne już do właściwego użytku, przydadzą się jednak w innej postaci: zamiast wydawać codziennie parę groszy „na podpałkę“, nająć można człowieka, który je siekierą na drzazgi połupie

I tak jest ze wszystkiem: niema w domu odpadków, którychby zużytkować nie można. Pieniężnie zyskamy przez to niewiele — nic może. Zyskamy jednak to wielkie zadowolenie moralne, że ognisko domowe, nad którego jasnością czuwamy, świeci przykładem rozumnej, pracowitej oszczędności: nie tej liczykrupskiej, która kąsków skąpi domownikom, ale tej, która ich przemyślnie przysparza i zabiegania o nie uczy.

T. Prażmowska.

Dom i kuchnia.

Kluski z kartofli ze śliwkami.

Pół funta kartofli ugotowanych przetrzeć przez sitko lub przez maszynkę przepuścić, dodać pół funta mąki przesianej, 2 żółtka surowe, pół łyżki masła i szczyptę soli; zagnieść i rozwałkować. Wykrawać foremki lub szklanką okrągłe placuszki, na które nakładać po jednej śliwce, poczem zawijać ciasto podobnie jak na pierożki, maczając ręce w mące, żeby kluski nie przylegały. Gotowe kluski wrzucać na wrzącą wodę, nieco osoloną i pod nakryciem gotować aż spłyną pod wierzch. Wyjmować łyżką durszlakową na gorący półmisek i polać masłem rumianem z bułeczką. Śliwki, węgierki, należy pierwej sparzyć, obciągnąć ze skórki, pestki odrzucić i obgotować na lekkim syropie, uważając, aby się nie rozgotowały.

Rydze marynowane.

Rydze dobrze wymyte, przesypać w rondlu solą, nakryć i na bardzo wolnej blasze, dusić aż sok puszczą, około pół godziny; poczem zlać na sito, a gdy osiąkną, ułożyć w słoje i zalać zimnym octem przegotowanym z cebulą i korzeniami. Ocet powinien rydze nakrywać.

Rydze marynowane. Do marynowania brać rydze drobne, zdrowe, a nie robaczywe; obrać je z korzonków, opłókać w zimnej wodzie i dobrze osączyć. Zagotować octu z cebulą, w plastry pokrajaną, lub drobną cebulką (szalotką), pieprzem, angielskim zielem i liśćmi bobkowymi. Na gotujący się ocet wrzucić rydze, nakryć i na wolnym ogniu gotować 15—20 minut. Odstawić aż zastygną, poczem wlać w słoiki i obwiązać pęcherzem.

Pieczarki marynowane w własnym smaku.

Zupełnie świeże, drobne, jeszcze zamknięte pieczarki wymyć starannie w zimnej wodzie, nie obierać ich i korzonki pozostawić, tylko je trochę poobcinać. Obierając, wrzucać należy pieczarki do zimnej wody, żeby nie zczerniały; poczem je włożyć do rondelka, nalać wodą zimną tyle tylko, żeby je pokryła, dodać, na 3—4 funtów pieczarek, 1 łut soli cytrynowej, przez co zatrzymują biały kolor, nakryć i gotować 10 minut na bardzo wolnym ogniu. Gdy zastygną, ułożyć pieczarki w małe słoiki, zalać tym smakiem, w którym się gotowały, nakryć pęcherzem i, wstawiwszy je w rondel z zimną wodą, gotować pół godziny. Gdy ostygną, powyjmować słoiki i zaraz pęcherze obciągnąć lakiem. Trzymać w chłodnem, a suchem miejscu. Takie pieczarki są wyborne do sosów lub na garnitur do potraw wykwintnych, zastępują bowiem zupełnie świeże. Używając je, należy uprzednio pokrajać w plasterki, włożyć do gotowego sosu bulionowego i dodać trochę smaku od nich. W puszkach gotowane pieczarki trzymają się lata całe. Konserwy w puszkach gotować należy w parze całą godzinę.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Rosół z kluseczkami francuskiemi, polędwica z jarzynami.

Poniedziałek. Zupa z pieczarek, kaczki pieczone z kapustą.

Wtorek. Kapuśniak, pieczeń wołowa z kartofelkami, legumina czekoladowa.

Środa. Zupa cytrynowa, pieczeń cielęca z burakami, kompot z jabłek.

Czwartek. Zupa pomidorowa, zrazy zawijane z kartofelkami, wafle z kremem.

Piątek. Zupa z jarzyn, szczupak smażony z sałatą, naleśniki z kompotem.

Sobota. Zupa kartoflana, kotlety wieprzowe ze śliwkami.

:: HUMORYSTYKA ::

Nie kijem, to pałką

— O pani, kocham cię nad życie... więc zostań moją żoną!..

— Ręki panu oddać nie mogę, ale siostrą będę panu chętnie...

— Jeżeli tak, to postaraj się pani przynajmniej u swego ojca, ażeby adoptował mnie za syna!...

Na wsi.

— Cóż to, mąż wasz umarł?

— A tak, proszę jegomości.

— A czemu nie wezwaliście doktora, czy nie ma w okolicy?

— Dyć nie, proszę jegomości, my sami umieramy, przez doktora.

Pomiędzy zakochanymi.

Ona: Ojciec mi powiedział, że męża to trzeba szturmem brać — jak na wojnie.

On: No, ale ojciec powinien i to wiedzieć że każda wojna potrzebuje pieniędzy.

Nasi kamienicznicy.

— Co u licha, znowu mi pan podwyższa komorne o 50 marek.

— Tak panie — ponieważ przez naszą ulicę będzie przejeżdżać tramwaj elektryczny — co zmienia postać rzeczy.

Współcześni żebracy.

— Litości godna osobo, chociaż grosik — to marności.

— Cóż ty łajdaku — wódkę czuć od ciebie, prosisz i nawet czapki nie zdejmiesz.

— Eh! bo widzi pan, tam stoi na rogu stójkowy, jakby zobaczył, że ja czapkę zdjąłem, toby mnie za żebraninę do kozy wsadził, a tak to pomyśli, że idzie dwóch przyjaciół.

Pan domu.

Wchodząc do chaty pewnego wieśniaka pytają:

— Czy to wy jesteście panem domu?

— A no niby tak, bo moja baba dwa miesiące temu umarła...

Wielka szkoda.

— Pamiętasz młodego Wiercińskiego?

— Pamiętam.

— Dziś rano nagle umarł.

— Ah! co za szkoda! on tak ślicznie tańczył polkę w lewo...

W sądzie

— Dlaczego bijecie swoją żonę?

— Proszę pana, to nie ze złości, ale ot tak, każdy człowiek musi mieć swoją słabą godzinę...

Wystraszony lokaj.

— Jest pan?

— Jaśnie pan nie przyjmuje.

— Czy zajęty?

— Nie, ale wczoraj był łaskaw zaziębić się, a teraz raczy mieć katar

W szkole.

— Jeżeli twój ojciec ma dziennie 3 marki pensyi, a nie przyjdzie na pół dnia do roboty, to co dostanie?

— Wymyślanie od majstra, bo to okropnie zły człowiek, proszę pana profesora.

Naturalnie.

— Pani! jesteś piękną jak róża, pozwól też ofiarować sobie bukiet z róż

— Ej, mój panie, wolałabym żebyś pan powiedział, iż jestem drogą jak złoto, i ofiarował coś ze złota.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

Redaktor oddpowiezialny Marjan Hupczyc w Krakowie.